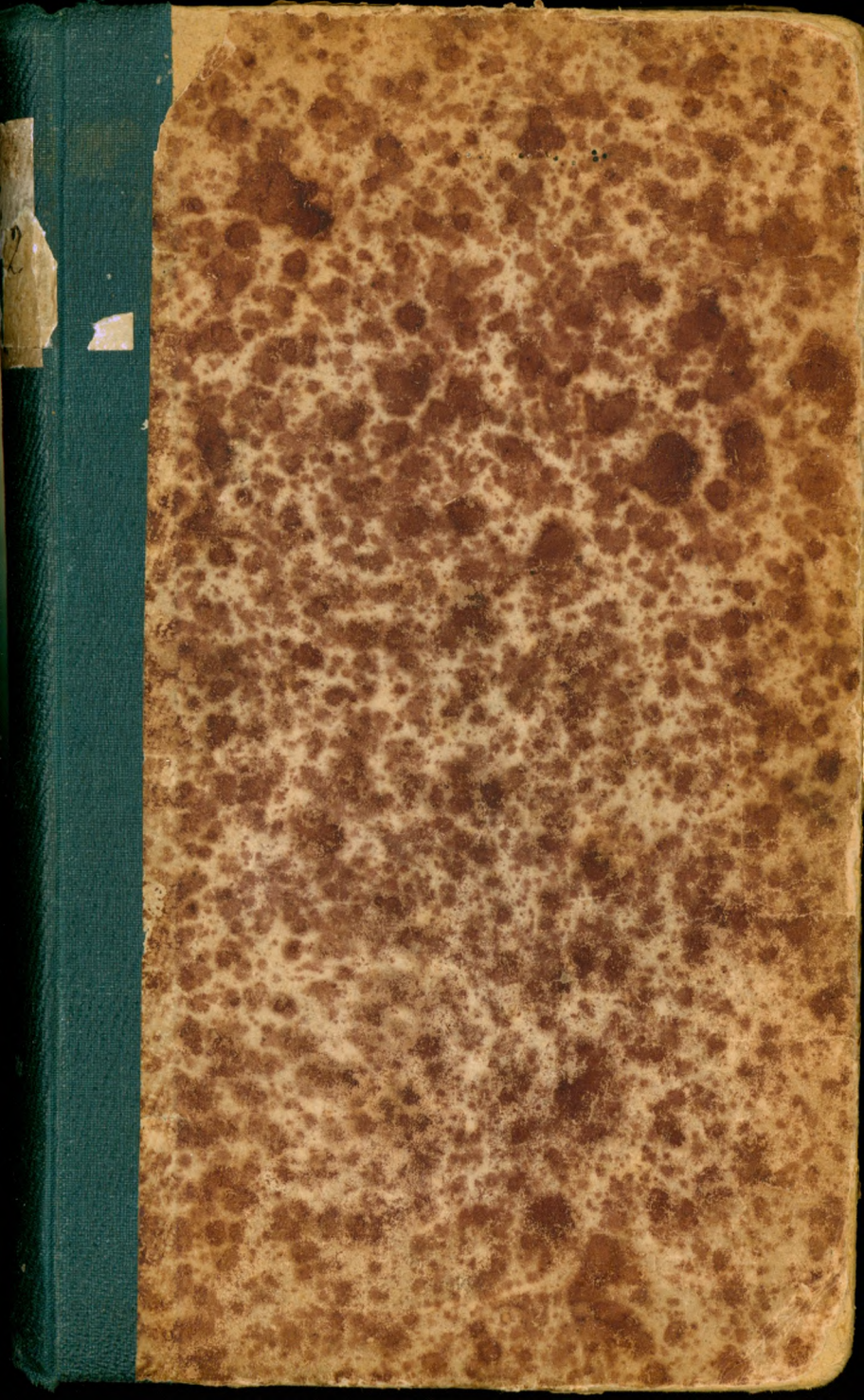




2v. 58.3



Szekspir.



**PŮSTE KOBIET
Z WINDSORŮ.**









P. C. Getisler del.

Nürnberg, Carl Mayer's Kunst-Anstalt.

IPUSTE ROBERTY E WHIDSON.

SZEKSPIR.



**PUSTE KOBIETY
Z WINDSORU.**



przekłożył

John of Dycalp.



O. Szym.

DEJAN CZERW

Wydanie Adama Zawadzkiego.

WILNO.

NAKŁADEM I DRUKIEM JÓZEFA ZAWADZKIEGO.



1842.



Печаташь позволяется съ тѣмъ, чтобы по отпечатаніи
представлено было въ Цензурный Комитетъ узаконен-
ное число экземпляровъ. Вильно. 29 Іюня 1842 года.

Испр. должн. Цензора и Кавалеръ

А. Мухинъ.



091270

OSOBY.



Sir John Falstaff.

Fenton.

Shallow — sędzia pokoju.

Slender — synowiec Shallow'a.

P. Ford }
P. Page } obywatele Windsorsey.

Wilhelm Page — maly syn Paża.

Sir Hugo Evans — Pastor Wallijski.

Doktor Cajus — francuzki lekarz.

Gospodarz hotelu podwiązki.

Bardolf }

Pistol } służalcy Falstaffa.

Nym }

Robin — giermek Falstaffa.

Simple — służący Slendera.

Rugby — służący Doktora Cajusa.

Pani Ford.

Pani Page.

Miss Anna Page — jej córka.

Żwawska — służąca Doktora Cajusa.

Służący Paża i Forda i t. d.

Scena w Windsorze i okolicach.



Akt Pierwszy.



Scena I.

Windsor. Przed domem Paża.

SHALLOW. SLENDER i SIR HUGO EVANS.

SHALLOW.

Nie—Sir Hugonie! proszę mi nie odradzać, to musi oprzeć się o izbę gwiazdzistą ¹⁾; chociażby on był dwadzieścia razy Sir Dżonem Falstaffem, nie pozwoli mu po sobie pojechać Robert Shallow Koniuszy.

1) Camera Stellata.

SLENDER.

Hrabstwa Gloucester, Sędzieja pokoju, i
Coram. 2)

SHALLOW.

Tak mój synowcze i *Custalorum* 3).

SLENDER.

Tak, i *ratolorum*, przytęm—szlachcie rodowity Mości Proboszczu, który się podpisuje *armigero* we wszystkich umowach, zapisach, pozwach, wniesieniach: wszędzie *armigero*.

SHALLOW.

Tak, podpisujemy się w ten sposób, i podpisywaliśmy się stale w przeciągu ostatnich lat trzystu.

SLENDER.

W ten sposób podpisywali się przed nim wszyscy jego następcy, i w ten sposób będą mogli podpisywać się po nim wszyscy jego przodkowie: dziś jeszcze mogą oni ukazać

2) Ograniczony Slender wtrąca tu nieszczęśliwie, wiadomy mu przypadkiem łaciński wyraz *coram*, zamiast *custalorum*.

3) *Cust-alorum*. Skrócone dwa wyrazy: *custos rotulorum*.

na tuzin rysiów w swojej dziedzicznej czar-
marze.

SHALLOW.

Tak, czamara nader jest starożytna.

E V A N S.

Che! che! che! Tusin rysiof f szamasze!
Ryś, fona szepła szamara lubi. Che! che!
che! ta ofat barso szłofiek lubi.

SHALLOW.

Jest tu mowa o rysiu puszczowym, i rzecz
idzie o starożytności herbu.

SLENDER.

Nie prawdaż mój Stryju, że ja go mogę
rozdzielić na dwa pola?

SHALLOW.

Zapewne że możesz synowcze przez wę-
zel małżeński.

E V A N S.

Sa posfoleniem! fęslem my kompinuje,
łaszy, a nie zieli. Ale to nie sielka artykuł!
Szeby pofrosić do nasza rzesz, ja pofiata sze
kiedy Sir Dzon Falstaff dopuścili się na
mego Dopproziój jaka niekrzeszność, ja jako

duchofna person musi nastroić ta sprafa na polupofny manier.

SHALLOW.

Nie, to dojść musi do wysokiej rady; jest to krzyczące zgorszenie.

E V A N S.

Fi! szeby fysoka rada miali sliszyć skor-szenie! F skorszenie niema szatna pojaśń posza! Fysoka rada, fizi mój Doprozięż, kce lepiej sliszyć pojaśń posza niszeli skor-szenie! Feśmie to mój Doprozięż na sfój delikatny rosum!

SHALLOW.

Na moje życie! jeśliby mi wróciła młodość, miecz-by pomiędzy nami tę rzecz rozstrzygnął.

E V A N S.

Lepiej sze ten miesz będzie pszyjasiel i wszysko zakonszy. Ale mnie przyszła jetna myśl do głofy, a fona szasem byfa nie głupia: Jezd tu Panna Anna Pasz, sorka Pana Karol Pasz, se wszyskim ziefszyna!

SLENDER.

Miss Anna Page? Ona ma włosy ciemne i głos cieniutki, kobiecy?

E V A N S.

Rychtych tak, jak mój Doprozięż sobie finansuje. Jęj bapki masz leszala jusz na śmiertelna poduszka (szeby fon fstał na radošne smartfychfstanie) potym fyliszyl siedymzed funtof szterlingof szystym slotem i sryprem, i pofieziel: „Na Anet! ty tego fzjąć jak bęzie miał siedymnaście lat!” To bylpy dopra poputka szeby poprzestać fszyskie te charmi-dery i fyprafić malszeński marijasz Pana Apraham s Mamzel Anet Pasz.

S L E N D E R.

Dziad jęj zapisał siedemset funtów szterlingów?

E V A N S.

Nie inaszęj. A Pan Ojsiec sbiera jeszcze więsęj.

S H A L L O W.

Znam tę młodą osobę. Ma ona piękne talenta.

E V A N S.

Siedymzed funtof, i więcęj jeszcze; to można redukować na talenty!

S H A L L O W.

A więc idźmy do zacnego Pana Page. Jestli tam Falstaff?

E V A N S.

Ja bęzie sam posiadała nieprawda? Ja brzyzi się tym so posiada nieprawda, tak jak ja brzyzi się tym so posiada fałsz, tak jak ja brzyzi się tym so myśli so inszego a posiada so inszego. Rycesz Sir Dżon jezd tutaj. Proszę moj pan poloszyć się na tego so sam dopsze żyszy. Ja saras sapuka do trzfi Pana Pasz (*kołata*) Chola! chola! pokoj temu domosi!

P A G E (*wychodząc*)

Kto tam?

E V A N S.

Blogosłafieńsfo bosze, i fasz przyjasiel, i Pan Sęzia Shallow—i oto młoda Pan Slender, który mosze pyć, przypatkiem opofie sam insza historija.

P A G E.

Rad jestem że widzę Panów w dobrém

zdrowiu. Panu Shallow bardzo dziękuję za zwierzynę.

S H A L L O W.

Panie Page! rad jestem że go widzę. Życzę mu wszelkiego dobra z całego serca. Pragnąłbym aby zwierzyna była lepszą, gdyż ta ładajako była strzelana. Jak się ma dobra pani Page? Jestem zawsze dla ich obojga z prawdziwym szacunkiem i przywiązaniem.

P A G E.

Bardzo mu dziękujemy.

S H A L L O W.

Dziękuję nawzajem. Jakkolwiek raczycie uważać moję przychylność, zawsze im dziękuję.

P A G E.

Rad jestem że was widzę dobry Panie Slender.

S L E N D E R.

A jak się ma siwy chart pański? Słyszałem że został prześcigniony na gonitwach w Cotsale?

P A G E.

To nie mogło być jeszcze rozstrzygnięciem.

S L E N D E R.

Ha! Pan nie chcesz przyznać się do przegranej!

S H A L L O W.

Bynajmniej. Wina z twojej strony mój synowcze. To jest pies arcy dobry.

P A G E.

Pies pospolity Panie Sędzio.

S H A L L O W.

Nie, kochany Panie Page, jest to pies dobry i pies piękny. Więcej o nim powiedzieć nie można: dobry i piękny! Czy Sir Dżon Falstaff jest tutaj?

P A G E.

Tak, jest on w naszym domu, i ja bym chciał być pośrednikiem między panami.

E V A N S.

Tak może jezd to być dopry krześcijanin!

S H A L L O W.

On mi domierzył krzywdy Panie Page.

P A G E.

On to sam w pewny sposób zeznaje.

S H A L L O W.

Wyznanie jeszcze nie zadosyćuczynienie: nie tak-li czcigodny Panie Page? On mi domierzył krzywdy: tak, domierzył! daję słowo: proszę mi wierzyć—Robert Shallow Koniuszy powiada że został pokrzywdzonym!

P A G E.

Otoż i Sir Dżon!

(*Falstaff. Bardolf. Nym i Pistol.*)

F A L S T A F F.

Cóż Panie Shallow, chcecie zanieść na mnie skargę do Króla?

S H A L L O W.

Rycerzu! Wyście pobili moich ludzi, zastrzeliliście mi sarnę, i wyłamaliście drzwi w mojej krolikarni.

F A L S T A F F.

Jednak nie ucałowałem córki waszego leśniczego.

S H A L L O W.

To rzecz obca. Za wszystko to musicie mi odpowiedzieć.

F A L S T A F F.

Jeżeli tak, więc odpowiadam wręcz i na-

tychmiast że zrobiłem to wszystko. Oto jest moja odpowiedź!

S H A L L O W.

Izba ją rozstrzygnie.

F A L S T A F F.

Lepiej by było dla was gdyby o tém nie słyszała nie tylko izba, ale nawet ściany: gdyż inaczej wystawicie się na pośmiech.

E V A N S.

Pauca verpa! Sir Johann! pauca verpa!

F A L S T A F F.

Pauca verba, trawa herba, Co?—Slendrze! jam ci potrzaskał głowę: cóż tam w niej mogłeś przeciw mnie wynaleśdź?

S L E N D E R.

Skargę Mości Panie przeciwko Wam i przeciw trzem waszym cudzochwytnym służkom, przeciw Bardolfowi, Nymowi i Pistolowi, którzy mię zaprowadzili do gospody, upoili i obrali do nitki.

B A R D O L F.

Co? pieczone jaje!

S L E N D E R.

Nie, nie o to rzecz idzie.

P I S T O L.

Co? Mefistofelu!

S L E N D E R.

Nie, nie o chmielu. Cale nie o tém mowa.

N Y M.

Fryc! — powiedziałem pauca, pauca! To mój szal⁴⁾ moja słabość!

S L E N D E R.

Ach! gdzie jest Simple mój służący? nie wiecie-li Stryju?

E V A N S.

Sicho! barso proszę! Teras zaszyna się słuchać! Jeszeli ja dopsze srosumiali, jezd tu trzy kategorija, to jest Pan Pasz *videlicet*, Pan Pasz—Ich, mego, *videlicet* mego—potrzesie, nakonies i naostateg PanOberszyst to jezd Pan gospodarz s hotelu potfiaski.

P A G E.

To jest my trzój dla rozpoznania tej rzeczy i zrobienia końca.

4) W roli Nyma Szekspir chciał wyśmiać nadużycie wyrazu *humour*, który był wtedy, jak się mówi, modnym wyrazem. *Szal* w wielu razach dość dobrze odpowiada Angielskiemu *humour*: przyjęliśmy więc ten wyraz, chociaż jesteśmy przekonani że słowo *humour* nie daje się zamienić żadnem.

E V A N S.

Rychtych! bravissimo! Ja saras fygotuję
cala ta sprafa na brullijon f mój pugilares—
a potym my tszy przystąpi do samego kom-
binacijon.

F A L S T A F F.

Pistol!

E V A N S.

Fszyskie stare i mlode djabli! So to sa
konstrukcion? „Slucha f oba ucha.” Fi! ja-
ka pszysadność!

F A L S T A F F.

Pistol! zdmuchnąłeś kieskę Panu Slende-
rowi?

S L E N D E R.

Tak a nie inaczej, przysięgam na te mo-
je rękawiczki! W przeciwnym razie niech
nie przestąpię progu naszej izby jadalnej.
Skradł mi on siedm srebrnych groszy w da-
wnej monecie, każdy grosz po sześć pensów,
i dwa Edwardowskie półtalarki, za które za-
płaciłem Jakóbowi młynarzowi po dwa szil-
lingi i dwa pensy za każdy. Przysięgam na
te rękawiczki!

FALSTAFF.

Doprawdy zrobiłeś to Pistolu?

EVANS.

To nie ma prawda, to słowiejstwo!

PISTOL.

Milezcé Zamorski Niemku! Sir Dżonie i Panie
 Ja tę blaszaną kukłę wyzywam na miecze,
 Kłamstwo mu w żyłach i po ustach ciecze
 Kłamstwo! pienisty bąbłu na twą głowę kłamiesz!

SLENDER.

Przysięgam na te rękawiczki, a więc to ten!

(ukazuje na Nyma).

NYM.

Poprzestań mój Panie tych szalów. Pa-
 mietaj że jeśli się za mnie uczepisz i napadnie
 nas szal polecieć na łeb na szyję, ja będę wo-
 lał: wpadliśmy oba do dołu! Oto jest wszyst-
 ko, o czém go chcę uprzedzić.

SLENDER.

Na mój kapelusz, więc to ten z ponsową
 twarzą, bo chociaż nie mogę dobrze pamię-
 tać com robił gdyście mnie upoili, nie jestem
 przecież osłem.

FALSTAFF.

Cóż wy na to Skarlecie i Janie? ⁵⁾

BARDOLF.

Co do mnie, myślę że Jegomość tak się uraczył, iż pogubił wszystkie pięć przyrodzonych uczuć.

E V A N S.

Eszyska pięś smysłof, ksiała posiezieć. Fi! jaka szłofiek okraniszona!

BARDOLF.

I że od trunku pomieszały się Jegomości wszystkie szyki w jego ciasnym muzeum.

SLENDER.

Przypominam że i wtedy zarywałeś coś po łacinie. Ale mniejsza o to! Odtąd postanawiam nie upijać się nigdy chyba w zacnym przyzwoitym i pobożnym towarzystwie. Jeżeli odtąd upiję się kiedy, to chyba z ludźmi bogobojućmi a nie z opojami z drabami!

E V A N S.

Tak mnie Bóg nasz sbafić, dopra intencjon!

5) Scarlet i John, imiona dwóch towarzyszków sławnego Robin Hood'a.

FALSTAFF.

Słyszeliście Mości Panowie że zaprzeczono
wszystkim zarzutom. Słyszeliście wszystko!
(*Wchodzi Miss Anna Page z winem. Za nią Pani Ford i
Pani Page*).

PAGE.

Nie, moja córko! odnieś to na powrót!
w domu będziemy pili.

SLENDER.

O nieba! To Miss Anna Page!

PAGE.

Jak służy zdrowie Pani Ford?

FALSTAFF.

Ach! Pani Ford! na honor nie mogłaś
zjawić się w lepszą porę. Pozwol droga
Pani! (*obejmuje ją*).

PAGE.

Żono! uproś tych panów aby zostali z na-
mi. Pójdźmy Mości Panowie! Będziemy
mieli wyśmienity pasztet ze zwierzyny, je-
szcze ciepły: a przy nim mam nadzieję że
utopimy wszystkie wasze niesnaski.

(*Wszyscy wychodzą prócz Shallowa, Evansa i Slendera*).

SLENDER.

Dalbym czterdzieści szyllingów, jeślibym

miał teraz moją książkę ze śpiewami i sonnetami. (*wchodzi Simple*).

Ty tu! gdzieżeś to grzązł dotąd? Ja sam mam być moim sługą? Co?— Czy masz z sobą mój piosennik?

S I M P L E.

Piosennik! Alboś go Pan nie pożyczył Pannie Alice Shorteake w dzień wszystkich Świętych, na piętnaście dni przed Ś. Michałem?

S H A L L O W.

Chodź, chodź synowcze! Czekamy na ciebie. Mam ci coś powiedzieć synowcze! Nasz szanowny pastor obmyślił dla ciebie coś takiego co zapewne ci się podoba. Wszak mię rozumiesz?

S L E N D E R.

Postaram się rozumieć mój Stryju, jeżeli tylko rzecz jest z siebie rozsądną.

S H A L L O W.

O tém nie mów, lecz staraj się mię zrozumieć.

S L E N D E R.

No! już się staram.

E V A N S.

Naciekofać wszystka ufaga kochany Pan Slender, a ja jemu fydemonstrofać ta sprafa jeszeli mój Dobroziej choć małeńka posiada attencijon.

S L E N D E R.

Nie, postąpię tak jak mi wskaże mój Stryj Shallow. Pan mi racz w tém przebaczyć: jest on sędzią pokoju w tém hrabstwie, którego ja jestem prostym tylko mieszkańcem.

E V A N S.

Ale to nie o tego chozi interes: chozi tu o jego malszenski partijon.

S H A L L O W.

Tak, o to idzie mój synowcze.

E V A N S.

O jego malszeński partijon s Panna Anet Pasz.

S L E N D E R.

Jeżeli tak, więc zgoda na wszystkie rozsądne warunki.

E V A N S.

Ale szy mój Pan skierofali sfój affekt na ta zasna panienka? Niech mój Doproziej

mości to ze sfoja gępa i pszes sfoje usta: poniefasz roszny uszony filosof fychozą s tego standpunkt: sze farki i usta jezd tyłk szałstka gępy. Więs tedy ostateszno pomysli i pofis: szy mosze nakierofać sfój affekt na ta panna?

SHALLOW.

Synowcze Abrahamie Slender! Możesz-li ją kochać?

SLENDER.

Tak się spodziewam mój Stryju! Dopelnienie w tej mierze tego wszystkiego co tylko zgadza się z rozumem.

EVANS.

Nein! Na fszyskie anielski regiment! Pan Slender akuratnie nam pofizieć: szy kocha ta śliszna panienka?

SHALLOW.

Tak, powinienes nam powiedzieć: czybys się z nią ożenił pod warunkiem dobrego posagu?

SLENDER.

Czuje że więcej nawet uczyniłbym mój Stryju na Wasze żądanie, skoro tylko rzecz jest z siebie rozsądną.

SHALLOW.

Ale nie! Zrozumieć-bo mnie mój kochany synowcze! Tu nie mego: tu idzie wprost o twoje dobro: czy mógłbyś kochać tę pannenkę?

SLENDER.

Gotow jestem poślubić ją mój Stryju na wasze słowo. Jeżeli nasza miłość z początku nie będzie wielką, to za łaską Niebios przy bliższej znajomości będzie ona mogła przeplonąć: a po ślubie przez codzienne z sobą stosunki przyjdziemy z czasem i do zupełnej antypatii; słowem skoro mi tylko radzisz mój Stryju z nią się żenić, jestem w tej mierze zupełnie zdysolwowanym, i czuję w sobie najmocniejszą dyssolucją.

EVANS.

Odpowiedz jak sama mądrość, fyjafszy slofo dyssolucijon, samiasz które fypada mieć. resolucijon. Ale samiar była dopra.

SHALLOW.

Tak, zapewne, synowiec mój powiedział to w dobrym zamiarze.

SLENDER.

Nie inaczej! niech wiszę jeżeli inaczej!

(powraca Anna Page).

SHALLOW.

Otoż i śliczna Miss Anna Page! Na honor, na widok Was Miss Anno chciałbym jeszcze odmłodzić.

ANNA.

Już dano do stołu i mój ojciec czeka na Panów.

SHALLOW.

Myśmy jego słudzy piękna Miss Anno!

EVANS.

Bóg niech będzie błogosławiona! Ja pofin-
na być na pszetopietnia modlitwa.

(Evans i Shallow wychodzą)

ANNA.

A Panu nie będzie wola pójść z nami?

SLENDER.

W rzeczy samój, dziękuję, serdecznie
dziękuję; jest mi tu zupełnie dobrze.

ANNA.

Czekają na Pana.

SLENDER.

W rzeczy samój, nie jestem łaknący, bar-

dzo dziękuję. (*do Simpla*). Idź przyjacielu! chociaż właściwie mówiąc, jesteś tylko moim sługą. Idź, może będziesz potrzebnym mojemu Stryjowi Shallow. (*Simple wychodzi*). Sędzia pokoju, raczysz Pani widzieć, może mieć czasem potrzebę w ludziach swojego przyjaciela. Teraz trzymam ich trzech tylko, i czwartego chłopca, to jest, póki nie umrze moja matka.. ale cóż to ma do tego — tymczasem, jak raczysz Pani widzieć, żyję jeszcze dość biednie, po szlachecku.

A N N A.

Ja nie powrócę bez Pana. Nie siądę bez niego do stołu.

S L E N D E R.

Na honor że ja nie jem. Dziękuję, w rzeczy samej że tak jak gdybym już jadł.

A N N A.

Proszę Pana, pójdziemy tędy.

S L E N D E R.

Wolałbym, gdybyśmy poszli tamtędy. Bardzo dziękuję. Niedawno zadrasnąłem sobie podbródek ucierając się na szpady i rapisy z jednym z tutejszych mistrzów w tém

rzemiośle. Zrobiliśmy z nim trzy obchody około półmiska gotowanych śliwek, i od tej pory na honor że nie mogę znieść zapachu ciepłego mięsa. Ale czego to psy tak szczekają? Czy są w mieście niedźwiedzie?

A N N A.

Są podobno: słyszałam o tem mówiących.

S L E N D E R.

Passijami lubię patrzeć na płasy niedźwiedzie — Jednak w podobnych razach równie jestem skłonny do gniewu jak każdy rodowity Anglik. A Pani lękać się bardzo widząc wolno puszczonego niedźwiedzia?

A N N A.

O! zapewne.

S L E N D E R.

Otoż jeść i pić jest dla mnie właśnie to samo. Nie dwadzieścia razy widziałem wypuszczonego Sackersona, i zawsze brałem go sobie prosto za kaganiec: ale kobiety, uręczam Panią, podnosiły zawsze taki pisk i wrzawę na ten widok, że to przechodzi wyobrażenie. W rzeczy samej kobiety nie mogą znieść niedźwiedzi: są one zbyt złe

uprzedzone przeciw tym biednym czarnym istotom. (*powraca Page*)

P A G E.

Ale chodź-że kochany Panie Slender! My na niego czekamy.

S L E N D E R.

Bardzo Panu dziękuję. Zgoła jeść mi się nie chce.

P A G E.

E! u nas muszą pójść na bok te cerygiele! Idź-że proszę! (*bierze go za rękę*)

S L E N D E R.

Nie! Racz mi Pan ukazywać drogę!

P A G E.

Chodźmy więc!

S L E N D E R.

Miss Anno! Bądź-że Pani pierwszą!

A N N A.

Nie — nie — Proszę Pana.

S L E N D E R.

Na honor że nie pójdę naprzód, na honor że nie pójdę: nie dopuszczę się tego ubliżenia.

A N N A.

Bardzo Pana proszę.

S L E N D E R.

A więc wolę być niegrzecznym niżeli upornym. Ale to Pani sama sobie ubliżasz, na honor że tak.

S c e n a II.

(Na témże miejscu).

(wchodzą EVANS i SIMPLE)

E V A N S.

Będzie szła prosta, fszysko prosta troga, potym sastanofi się i sapyta się: szy tu mieszka Doktor Cajus? Jeszeli pofi sze tak jezd to tam sastanie Pani Szfafski jego gufernantki, szyli gospodyni, szyli kucharki, szyli praszki, szyli ta so myć i praś i prasofać jego garderop.

S I M P L E.

Dobrze Panie.

E V A N S.

Poszekaj jesze będzie lepiej. Oddaj ten list jēj f ręka. Fona fielka ma snajomosć s Panną Anet Pasz, a fta list stoi: sze tfoj

Pan szyszy sobie ręka Panny Anet Pasz.
 Szyfo, szyfo bieszy! barzo proszę; a ja bęzie
 konszyla fryszytk, bo saras jesze dazą japeg
 i tlusty syr. *(wychodzą.)*

S c e n a III.

(Pokój w hotelu Podwiązki).

(FALSTAFF. GOSPODARZ. BARDOLF. NYM.
 PISTOL i ROBIN).

F A L S T A F F.

Mój kochany gospodarzu!

G O S P O D A R Z.

Co mi powiesz mój ogromny rycerzu! Mów
 tylko mądrze i dobrze.

F A L S T A F F.

W rzeczy samój, mój gospodarzu! potrze-
 ba mi odprawić niektórych z moich ludzi.

G O S P O D A R Z.

Odpraw ich mój Herkulesie, wyproś ich,
 daj im krzyżyk, i marsz marsz!

F A L S T A F F.

Jedno strawne kosztuje mi do dziesięciu
 funtów na tydzień.

GOSPODARZ.

Za to ty jesteś Imperatorem, Cesarzem, Cezarem, Rajserem, Kassijerem! Bardolfa, jeżeli chcesz, ja wezmę do siebie: on będzie mi odbijał beczki i ściągał wino. Alboż nie dobrze mówię mój Hektorze?

FALSTAFF.

Zrób tak kochany gospodarzu!

GOSPODARZ.

Jużem dał słowo. Każ mu iść za mną. Zobaczymy jak się też on zna na fabryce piany i bukietu. Słowo u mnie grunt! (*wychodzi*)

FALSTAFF.

Bardolfie! idź za nowym twym Panem. Piwnica wyborne rzemiosło: za jego pomocą stary płaszcz może się zamienić w nową kurtkę, a przyszargany lokaj w świeżego chłopaka. Idź, adieu!

BARDOLF.

Jest to właśnie życie, któregośm oddawna pragnął. Zapusty!

PISTOL.

Trutniu węgierski! Toż ty wolisz odkręcać czopy!

N Y M.

Pijaństwo go na świat wydało. Alboż źle się wyraziłem? W nim szal pijacki a nie bohaterowski!

FALSTAFF.

Rad jestem że się pozbył tego ożoga. Jego kradzieże były zbyt jawne: palce mu biegały jak u nieumiejętnego grajka bez żadnego względu na miary i pauzy.

N Y M.

Prawdziwe natchnienie, prawdziwy szal kraść w samą pauzę.

P I S T O L.

Fi! jakie wysłowienie: kraść! ludzie rozumni mówią: *przedsiębrać*! kraść słowo godne figi!

FALSTAFF.

Wszystko to dobrze moi panowie! z tém wszystkiém koło waszego pana arcy kuso.

P I S T O L.

Właśnie strój do tańca.

FALSTAFF.

Tak, niema innego środka. Musimy tańcować, musimy wziąć się na sposoby.

P I S T O L.

Kruk powinien karmić swoje pisklęta.

F A L S T A F F.

Kto z was zna tu niejaką Panią Ford?

P I S T O L.

Ja ją znam, jest to pożywny kąsek.

F A L S T A F F.

Moje poczciwe chłopcy! powinniście wiedzieć jak też koło mnie?

P I S T O L.

Dosyć wypukło.

F A L S T A F F.

Nie, Pistol, bez tych igraszek. W rzeczy samej na ciele mam się dosyć wypukło, ale w trzosie djabelna wklęsłość, i nad tem to właśnie myślę. Słowem, postanowiłem z Panią Ford wdać się w miłostki za skutek których niemal ręczyć mogę: ładna ta mężatka rada ze mną rozmawia, robi mi przysługi u stołu, rzuca na mnie zachęcające spojżenia: a to wszystko, jeżeli się nie mylę, brzmi w dobrej angielszczyźnie: Jestem Sir Dżona Falstaffa.

P I S T O L.

Otoż to znaczy zgłębić dobrze swój przedmiot, i tłumaczyć dosłownie z języka wstydliwości na Angielski.

N Y M.

Jest to aż do samego dna zapuścić kotwicę przenikliwości. Alboż źle powiedziano?

F A L S T A F F.

Wiesz niesie że ona sama tylko umie rozplatać gordyjskie węzły mężowskiego trzosa, i że w nim legiony *aniołów*. *)

P I S T O L.

A więc wypuść Pan na nich kilka sfor djabłów.

N Y M.

To mi szal prawdziwy. Nic dowcipniejszego nad tych aniołów.

F A L S T A F F.

Oto jest list do niej — a to drugi do Pani Page która także pogląda na mnie słodkiemi oczyma i mierzy moje formy znaczącym sposobem: oddawna już uważam że wzrok jej mile spoczywa na pełni mej no-

*) *Angel* moneta.

gi, i odbija się z upodobaniem o powierzchnię
mojego okazalego żołądka.

P I S T O L.

Tak jak promień słoneczny odbija się od
śmietnika.

N Y M.

Cha! cha! cha! Dziękuję ci za pomysł: to
mi szal prawdziwy!

F A L S T A F F.

W rzeczy samej odbywała ona przegląd
mojej osoby i postawy takim okiem, że
omal nie stajał od palącego zwierciadła.
Ten więc drugi list do niej. Ona też panią
w swoim domu, który można nazwać praw-
dziwą Gujanną złota i obfitości. Niech-że
ta złota ruda przemnywa się i przemycą w mo-
im ręku. Niech to będą dwie moje handlo-
we Indyje, wschodnia i zachodnia. — Weź
Pistol zanieś to pismo do Pani Ford: a ty
Nymie to drugie do Pani Page. Odżyjemy
dzieci.

P I S T O L.

Ja zaś mam biegać posłem jak Pandarus z Troi
I nosić stał u boku? — O zioń raczej piekło!

N Y M.

Ja również nie dopuszcze się tego nikez-
mnego szalu. Weź pan swój list na powrót.
Nie ubliżę nigdy godności i powadze.

FALSTAFF. (*do Robina*).

Weź moje dobre dziecię; zanieś w skok te listy,
Pędź jak mój statek szczęścia, do złotych przystani!
— Wy niecnoty! precz z oczu! Jak grad w oczach
wiońcie,

Rzeczy swe, ślady hierze! Szukajcie noclegu!
Falstaff pójdzie za szczęściem, jak Francuz,
w świat cały

Z piosnką, lub z małym giermkiem — chodźmy
giermku mały (*wychodzi z Robinem*)

P I S T O L.

Bodaj ci czarne sępy przebodły wnętrzności!
Kto umie znać karty, zgrabnie rzuca kości,
Brat za brat z całym światem i zmiata testony,
A ty frygijski Turku piśniesz w inne tony.

N Y M.

W mojej głowie snuje się szal zemsty.

P I S T O L.

Cheesz-li zemsty?

N Y M.

Chcę, przysięgam na niebo i gwiazdy.

P I S T O L.

Grzecznej czy żelaznej?

N Y M.

.....na oba te szaly
I zaraz Page się dowie przyszlęj swęj zakaly.

P I S T O L.

A ja leczę do Forda by mu przetrzeć oczy
Ze ten Falstaff potępieniec
Na jego gołębicę obrócił wzrok smoczy
I godzi na szkatułę i małżeński wieniec.

N Y M.

Szał mojej zemsty nie opłonie poki nie
pobudzę Paża do trucizny. Potrafię ja go
nabawić żółtaczka zazdrości, i jestem pe-
wnym że moja mina strasznie wybuchnie.
Jak ci ten szal się zdaje?

P I S T O L.

Ty jesteś Mars przywódca urażonych.
Idę z pokorą pod twoją chorągiew. A więc
dalej! (wychodzą).



S c e n a IV.**(Pokój w domu Doktora Cajus).****(ŻWAWSKA. SIMPLE i RUGBY.)****ŻWAWSKA.**

Mój kochany Janie! Stań w przedpokoju i patrz z okna czy nasz Pan nie idzie: bo jeśli on nas zejdzie znienacka i zastanie w domu obcego człowieka, będziemy mieli znowu nadużycie cierpliwości Boskiej i Króla Angielskiego.

RUGBY.

Idę.

ŻWAWSKA.

Idź, idź, a my już pomyślimy o podwieczorku jak tylko na kominku przytleje ostatni węgielek.—Pocziwe chłopczyko! usługne i dobre o ile tego można chcieć od pokojowca: przytém nie papla i nie lubi się swarów: jedyną jego wadą że czasem trochę zawiele w nim nabożeństwa: któż jednak bez wady? Ale przystąpmy do rzeczy: więc mówicie że Wasze nazwisko Piotr Simple?

SIMPLE.

Tak, w niedostatku lepszego.

Z W A W S K A.

A Pan Wasz Pan Slender?

S I M P L E.

Tak w rzeczy saméj.

Z W A W S K A.

Nie nosi-li on czasem wielkiéj brody
w kształcie siekaczki?

S I M P L E.

E, broń Boże! u niego twarz malutka, i
malutka broda koloru judaszowskiego. ⁶⁾

Z W A W S K A.

Ale on powolny, nie zwadliwy?

S I M P L E.

Tak, zapewne. Umie wszakże dobrze wy-
wijać rękami. On to bił się niedawno z do-
zorcą królikarni.

Z W A W S K A.

A więc to on! No! już wiem teraz. Nie
prawdaż że się on trzyma prosto jak żóraw',
i chodzi sztywnie jak gdyby przełknął kija?

S I M P L E.

Tak, tak on chodzi w rzeczy saméj.

6) Judasz i Raim w najdawniejszych obrazach mają
uprzywilejowane żółte brody.

ZWAWSKA.

O Boże-ż uchwaj jakiego jeszcze gorszego nieszczęścia od mojej Anety! Proszę powiedzieć Panu Pastorowi Evans że będziemy się starali ile możliwości. Anna dobra dziewczyna: i ja pragnę najgoręcej.....

(*wbiega Rugby*).

RUGBY.

Ach! Jegomość! Jegomość! już na progu!

ZWAWSKA.

A więc po nas! Biegaj mój kochany do tego pokoiku. (*potrąca Simpla izamyka*). On tu nie długo zabawi.— Rugby! Janie! Janie Rugby! Bodajes ogłuchł! Biegaj Janie! dowiedz się o naszym Panu, czy się z nim czego broń Boże nie stało że tak długo nie powraca?— Tra la la—Tra la la.

(*wchodzi Doktor Cajus*).

CAJUS. 7)

So tam sobi spifa! fszysko fgłosie бага-

7) Usiłowaliśmy unikać podobieństwa między francuzkim Doktorem Cajus i Pastorem Evans. Jeżeli to nie wszędzie nam się powiodło, prosimy mieć na pamięci że sposób jakim Francuzi i Niemcy wymawiają języki słowiańskie, po większej części różni się tylko akcentem, i że pomimo tej nawet cechy,

tel. Pojcie proszę do mego gabinet i pszyniesie jedna sielona puszka — un boitier verd—ten mali sielony pudeleszki—rosumi?

Ż W A W S K A.

Dla czegożbym nie miała rozumieć. Wnet przyniosę. (*na stronie*). Co za szczęście że sam nie poszedł. Gdyby zastał mojego młodego posłańca, ani chybi przyszłyby mu do głowy rogi.

C A J U S.

Ouf! ouf! ma foi, il fait fort chaud. Je m'en vais à la cour la grande affaire!

Ż W A W S K A.

Wszakem się nie omyliła?

C A J U S.

Oui. Mette le au mon — f ta kieszenia. Depeche—szyfo! Gdzie jesd ten lajdag Rugby?

Ż W A W S K A.

Rugby! Janie! Janie Rugby!

potrzeba nader wprawnego ucha ażeby z pierwszych słów wymówionych po polsku zawyrokować: Teuton-li czy Gall znęca się nad naszym biednym językiem? — U Szekspira dwa te charaktery nie są też dosyć wyraźnie oznaczone.

RUGBY.

Jestem.

CAJUS.

Ty jesd Jan Rugby, to jesd Jean Rugby!
Dobsze! Feśmie sfoja szpada i pojzie se mną
zaraz — ale fszysko bęzie szed s tylu—a la
cour—do dforu!

RUGBY.

Dobrze Panie.

CAJUS.

I szegosz ja fięsej stoi—Qu'ai-je oublié?
A!! Sostali się jesze f gabinet moj nieose-
niony simples ⁸⁾; ja sam jego poszuka.

ŻWAWSKA.

Ach! najrzał go! O teraz-że to posypie
się piekło.

CAJUS (otwierając)

Diab! Diab! So to! jeden młody
szłofieg f moj gabinet! Słziej! larrone!
(wypychając Simpla) Rugby! mego pałasz!

ŻWAWSKA.

Dobry mój Panie! racz być spokojnym!

8) *Simples* są to proste domowe lekarstwa, znajome
u nas pod imieniem domowych sekretów.

CAJUS.

Ja będę spokojna. Szemu to ja będę spokojna. He?

ZWAWSKA.

Jest to człowiek uczciwy.

CAJUS.

Szłofieg uszcify fmoj gabinet! Nie, fmoj gabinet nie chozi szłofieg uszcify!

ZWAWSKA.

Nie—Zaklinam Pana, nie unos się taką flegmą ⁹⁾, i racz mię wysłuchać. On przysłany jest do mnie z poleceniem od Pana Evans.

CAJUS.

Bon.

SIMPLE.

Tak, na honor, Pan Evans prosi....

ZWAWSKA.

Milcz, ja wszystko opowiem.

CAJUS (do Zwawskiej).

Ty sam milsz! (do Simple) a on saraz gada fszysko.

⁹⁾ Wyrazy łacińskie dla Zwawskiej podobnie jak i dla Slendera są kamieniem obrażenia: pomimo to, losem wielu kobiet, nie może ona przezwyciężyć w sobie pokusy do wyrazów niezrozumiałych.

S I M P L E.

Pan Evans prosi tej oto Pani, Pańskięj służącęj, ażeby zarzuciła kilka słów do Panny Anny Page, za moim panem, który umyślił starać się o jej rękę.

Ż W A W S K A.

Otoż i wszystko! doprawdy że wszystko. Ale ja nie mam potrzeby wścibiać się nie w swoje rzeczy.

C A J U S.

Monsieur Pasteur Evans siebie tu przysłali?... Rugby! Baillez moi jeden pióro i kalamasz. (*do Simpla*) a ty poszeka un moment! (*pisze*).

Ż W A W S K A (*do Simpla*).

Co za szczęście że on tak spokojny! Jeśli by wpadł w złość po swojemu, zobaczyłbyś co by to była za melancholija! Pomimo to jednak uczynimy dla twojego pana wszystko co będziemy mogli, bo koniec końcem francuzki doktor, pan mój—jużci też mogą go nazywać moim panem, bo dozoruję jego domu, pierę mu bieliznę, piekę chleb, za-

miałam, pościelałam — jedném słowem sama wszystko robię.

S I M P L E.

Nie mały to ciężar mieć tak kogoś zupełnie na swoim ręku.

Ż W A W S K A.

Mówisz to z przekonania? Ach! w rzeczy saméj jest to wielki ciężar, i wstawać ze świątem i kłaść się późno! Ztém wszystkiém powiem ci na ucho (tylko cyt! wieczny sekret!) mój pan ma się też do Miss Anny. Ale ja znam myśli Miss Anny! Jej myśli ani tam ani tutaj!

C A J U S (*do Simpla*).

Nasafandul odda ten billet prosto f ręce Sir Evans. Pardieu! Ja fysyfa jego f ten billet na duel f park, i setnę jemu głofa po sama szyja! ja jego nauszy so to jesd szeby się duchowna persoun mieszałi f ta blasensfa! Ty mosze sobi is presz! sliszali? (*Simple wychodzi*) Pardieu! ja temu Pasteur utnę fszyskie dfa uszy — ja jemu nie sosałi ani jeden koszcz szeby miał szem na psy szusić!

ŻWAWSKA.

Wszakże on stara się o to nie dla siebie ale dla swego przyjaciela.

CAJUS.

A mnie so na tego! Ty obiesali Anette Page dla mnie sama. Pardieu! ja tego glupia stara Pasteur saraba f śmierś! ja jusz ma ten so będzie przymierzyć mój palasz i jego palasz: to będzie nasz hôte de jarretière, nasz gospodarz potłąski. Ja kse mieś Anette Page sam jedyn!

ŻWAWSKA.

O cóż Panu idzie? Dziewczyna Pana kocha. Niech sobie ludzie marzą i plotą jak im się podoba. Na co Panu robić te fakeije.

CAJUS.

Rugby! pojziemy, allons do tforu! Złafsky! jak ja nie będzie mieś moja Nannet, to ty stąd polesi tak sze nie się obejszy! Allons Rugby! *(wychodzą)*.

ŻWAWSKA.

Spodziewaj się oślich uszu, nie Anety! Znam ja jej myśli w tej mierze. Ani jedna z Windsorskich kobiet nie zna jej tyle i nie-

ma tyle nad nią przewagi, ile ja, dzięki Niebu!

FENTON (*za teatrem*).

Jest-li tu kto? Hola!

Z W A W S K A.

Kto-by to był?—prosimy do środka!

FENTON (*wchodząc*).

Ha! jak się masz kochana Pani Zwawska?

Z W A W S K A.

Bardzo dobrze, skoro mię Pan raczysz o to zapytywać.

FENTON.

Cóż nowego? Jak się ma śliczna Miss Anna?

Z W A W S K A.

W rzeczy samej Panie ze śliczna — i cnotliwa i dobra pańska przyjaciółka, mogę dodać dzięki Niebu!

FENTON.

Mniemasz-li że moje zabiegi nie będą próżne i że mi się powiedzie?

Z W A W S K A.

Wszystko wprawdzie w ręku Tęgo co nad nami; ztémwszystkiem mogę Panu poprzy-

siądź na Ewanieliją że Panna Page go kocha. Nie masz-li Pan czasem małej brodawki nad okiem?

F E N T O N.

No, mam, i cóż stąd?

Ż W A W S K A.

Z tē m wiąże się długa, długa powieść. Na honor Anetta osobliwsza osoba... mogę tylko upewnić Pana że najenośliwsza z dziewcząt, jakie kiedykolwiek jadły chleb powszedni. Wczoraj całą godzinę rozmawiałysmy z sobą o pańskiej brodawce. Z nią tylko jedną można naśmiać się od sereca. Dziewczyna pełna melancholicznej pustoty: lecz co się tyczy Pana... radzę tylko nie ustawać.

F E N T O N.

A więc dobrze, dziś będę się starał z nią widzieć. Tymczasem weź tę fraszkę i nie bądź niemą w mojej sprawie. Jeżeli piérwój odemnie zobaczysz Anetę, postaraj się mię jęj przypomnieć.

Ż W A W S K A.

Co mi Pan o tē m przypominasz? Bądź Pan zupełnie spokojnym: a jak tylko zda-

rzy się mi z Panem mieć nową ekskursiją, opowiem mu więcéj o brodawce i o pańskich spółzawodnikach.

F E N T O N.

Bardzo dobrze. Bądź zdrowa! teraz nie mam ani chwili czasu. *(wychodzi)*.

Z W A W S K A.

Najobowiązańsza Pańska sługa!—W rzeczy saméj zacny człowiek, ale Aneta zgoła go nie kocha. O! znam ja lepiej jéj serce niżeli ktokolwiek! — Ale do licha, czegożem to ja zapomniała? *(wychodzi)*.



A k t D r u g i.



S c e n a I.

Ulica przed domem Paża.

(Pani Page z listem w ręku).

PANI PAGE.

Co znowu! list miłosny! Uniknęłam ich za błogich czasów mojej młodości, a teraz miałabym zostać ich przedmiotem! Cha! cha! cha! czytajmy:

„Nie szukaj Pani w tym moim kroku, rozsądku. Miłość ucieka się niekiedy do rozsądku jak do lekarza, ale nigdy nie

„bierze go za poradnika. Pani nie jesteś
 „już młodą, i ja nim nie jestem. Oto
 „pierwsze ogniwo spółczucia pomiędzy
 „nami! Lubisz wesołość, ja też ją lubię.
 „Cha! cha! oto jest ogniwo drugie! Lu-
 „biesz słodkie grona, i ja też je lubię.
 „Ach! potrzebaż jeszcze więcej pobudek!
 „Niech ci dość będzie droga Pani na tém
 „(jeżeli dość Ci być może miłości żoł-
 „nierza) że Cię kocham. Nie usłyszysz
 „Pani odemnie piosnki: miej litość na-
 „demną: ja Cię będę prosił po żołnier-
 „sku: kochaj mię!

Czciciel Twój cnoty

Gotow na groty

Czy pluszczą sloty

Czy biją grzmoty

Pelen tęsknoty.

John Falstaff.

— Herod Galilejski! — Ach ten świat,
 świat! człowiek na pół zgrzybiały podej-
 muje się jeszcze roli zalotnika! Lecz jaką
 u licha płochosć mógł odkryć w mojem po-
 stępowaniu ten pijak flamandzki (ze swoim

djablém dziwołagowém nazwiskiem) że śmie w ten sposób mię doświadczać? Widziałam go może trzy razy, i pamiętam że mu nie mogła nic powiedzieć: bo usiłowałam nawet nie śmiać się patrząc na niego: niech mi tę obłudę Niebo przebaczy! muszę dali-bóg wniesć bill do następującego parlamentu o uskromienie mężczyzn. Lecz jakże pomścić się na nim, bo że pomścić się muszę to taka wielka prawda, jak prawda że ta ładowna waliza stworzoną jest tylko do pud-dyngów! *(nadchodzi Pani Ford).*

PANI FORD.

Kochana Page idę właśnie do Ciebie.

PANI PAGE.

A ja na honor wybierałam się do Ciebie. Ale cóż tak gniewnie wyglądasz?

P. FORD.

To być nie może! mogę Cię zaraz przekonać że to być nie może.

P. PAGE.

Ztémwszystkiem gniew daje się wyczytać z twojej twarzy.

Dla twojej pociechy oto jest rodzony brat twego listu! Ale sława zawojowania i dziedzictwa tej słodkiej krainy niech do Ciebie należy: ja mój udział przelewam na Ciebie w całości. Założyłabym się że on ma tysiące takich listów z okienkami na różne imiona. Te ostatnie przewyższają nawet może liczbę ysiąg, i on zapewne zamysła je ogłosić drukiem, kiedy z taką obojętnością chce nas obie poddać pod prasę. Wołałabym ulecieć losowi mytologicznych olbrzymów i dźwigać na sobie górę Pellion lub Osę. Ręczę Ci przyjaciółko że prędzej Ci ukazę dwadzieścia niewiernych turkawek, niż jednego cnotliwego mężczyznę.

P. FORD.

Dalibóg ta sama ręka i te same słowa. Cóż to on sobie o nas myśli?

P. PAGE.

Na honor że nie wiem; ale krok jego wprawia mnie w podejrzenie względem mnie samej. Odtąd uważniej z moją cnotą będziemy poglądały na siebie, jak osoby między którymi niedawna zaszła znajomość. Bo już

też jeśliby on nie odkrył we mnie jakiej słabości, której może się i nie domyślam, nie śmiałyby tak odważnie szczeblować do warowni.

P. F O R D.

Szczeblować zaś! O ręczę Ci że ja go potrafię zatrzymać daleko jeszcze przed mostem.

P. P A G E.

Ja również nie mogłabym nigdy spojrzeć na morze, jeśliby podobny Tryton miałkiedy dotknąć mojego okrętu. Ale musimy pomścić się na nim: przyjmujemy jego nadszkalowania, naznaczymy mu miejsce do schadzki, i ciągnijmy coraz bliżej na przynętę, póki nie zastawi swoich koni tutejszemu gospodarzowi Podwiązki.

P. F O R D.

Zgoda na każde zle, ile ich wyrządzić będziemy mogły bez narażenia naszej sławy. Cha! cha! jeśliby ten list dostał się w ręce mojego męża, byłaby to prawdziwa manna dla jego zazdrości.

P. P A G E.

Właśnie idzie on tu za moim dobrym mężem. Mój dzięki Niebu równie jest dalekim od zazdrości, jak ja od tego abym mogła być do niej powodem.

P. F O R D.

Tem jesteś szczęśliwszą!

P. P A G E.

Zejdźmy na stronę dla dokończenia naszych planów. *(odchodzą na stronę).*

(F O R D. P A G E. P I S T O L. N Y M.)

F O R D.

Nie, nie, tego się nie spodziewam.

P I S T O L.

Na wspak tropiący ogar, to właśnie nadzieja; Falstaff ma się do żony Pana Dobrodzieja.

F O R D.

Ale mój kochany żona moja już nie młoda.

P I S T O L.

I w niskie chatki, i w złote palace ¹⁰⁾

10) Wiersz psalmu, który na tem miejscu znajduje się u Szekspira, zamieniliśmy wierszem Horacjusza. W trzech czy czterech podobnych miejscach, sądziliśmy się również wolnymi od dosłowności.

Do starych, młodych równie on kołace.

Przysmak hultajów bigos—zważ to Panie Fordzie!

F O R D.

On miałby zakochać się w mojej żonie!

P I S T O L.

Piecze go ogień wewnętrzny: ostrzegam w czas
Pana:

Lękaj się Akteona postaci i miana;
Haniebny wyraz!

F O R D.

Jaki wyraz?

P I S T O L.

Rogi—dobitne zda się objaśnienie:

Czuj, strzeż się, złodziej nocne lubi cienie.

(*do Nymy*) Przystąp Kapralu! (*do Paża*). On was
nie oszuka; wierz mu Pan! słowa prawdy—
(*wychodzi*).

F O R D.

Potrafę się powściągnąć i dojdę wątku
tej rzeczy.

N Y M. (*do Paża*).

To jest istna prawda! Nie lubię szalu
kłamstwa. Falstaff mię uraził. Żądał on po
mnie szalu, abym zaniósł list pełen szalu—
ja zaś, który noszę miecz, i mogę nim sobie

zarobić na kęs chleba! powtarzam, Falstaff zakochał się w waszej żonie. Moje nazwisko: Kapral Nym. Mówię i popieram rzecz dowodami: moje nazwisko Nym, a Falstaff kocha się w waszej żonie. Adieu! Szał chleba i sera nie jest moim szalem. Adieu!
(wychodzi).

P A G E.

Szał, szalem! Ten człowiek posiada rzadki dar mówienia od rzeczy.

F O R D.

Idę szukać Falstaffa.

P A G E.

Na honor trudno żądać doskonalszej przysady i napuszenia.

F O R D.

Jeżeli tak się odkryje, O! wtenczas zobaczymy!

P A G E.

Nie uwierzyłbym temu derwiszowi, chociażby mi sam Proboszcz tutejszy ręczył za jego dobrą wiarę.

F O R D.

Tamten zda mi się dobrym i rozsądnym człowiekiem. Zobaczymy!

PAGE. *(do żony).*

A jak się masz Zosiu?

P. PAGE.

Gdzież to idziesz Karolu?

P. FORD. *(do swojego męża).*

Cóż ci to jest mój Franku że tak jesteś smutny?

F O R D.

Kto, ja smutny? Bynajmniej! Idź Asani do domu!

P. FORD.

Znowu coś osobliwszego przyszło ci do głowy. Chodźmy kochana Pani Page!

PAGE *(do męża).*

Czy czekać ciebie Karolu z obiadem?
(cicho do Pani Ford). — Widzisz-li kto tu idzie?
Ona będzie naszym posłem do tego szpadzistego głupca. *(wchodzi Zwawska).*

P. FORD *(do Pani Page).*

Na honor, że i ja o tym myślałam. Właśnie jedyna do tego osoba!

P. PAGE *(do Zwawskiej).*

Cheesz zapewne widzieć się z moją Anetą?

Ż W A W S K A.

Tak, właśnie w tém przychodzę. I jakże się ma, proszę Pani, Miss Anna?

P. P A G E.

Chodź, chodź do środka kochana Żwawska; mamy z sobą do pomówienia.

(wychodzą Pani Page, Pani Ford i Żwawska).

P A G E.

Dla czego tak niegrzecznie obszedłeś się z żoną?

F O R D.

Alboś nie słyszał jaką mi zwiastowano nowinę?

P A G E.

Słyszałeś zapewne i o tej jaka mnie spotkała?

F O R D.

Jakże przecię, wierzysz-li tym ludziom?

P A G E.

Pod szubienicę tych łotrów! Nie sądzę aby rycerz mógł myśleć o czém podobném. Ci dwaj jego oskarżyciele są to dwaj przezeń wypędzeni słuzalecy, a teraz prawdziwe gościeńcowe draby, gdy nie są już na niczych usługach.

F O R D.

Mówisz że oni byli jego służącymi?

P A G E.

Tak jest.

F O R D.

To zgoła nie polepsza téj rzeczy w moich oczach! — Powiedz mi proszę czy Falstaff mieszka w hotelu Podwiązki?

P A G E.

Tak. Lecz i cóż stąd? Jeżeli prawda iż się on wybiera do mojej żony, to ja puszczę ją prosto na niego: a jeśli oberwie od niej coś więcej prócz pieprzowych słówek, ja ten dodatek biorę już na moją głowę.

F O R D.

Ja też nie powątpiewam o żonie: jednak nie zostawiłbym ich tak samowtór: człowiek czasem bywa zbyt ufny: a przytém podług mnie najlepsze ubranie głowy proste, bez żadnych dodatków.

P A G E.

Patrz idzie tu i słyhać już zdaleka jak burmistrzuje nasz gospodarz Podwiązki: musi on mieć albo nadzwyczajną szklankę w gło-

wie, albo sutą jakąś poimkę w kieszeni, że mu tak błogo na twarzy. Witajcie nam kochany gospodarzu! *(wchodzą Gospodarz i Shallow)*.

GOSPODARZ.

Cóż tam się tak wleciesz mój półankarku! mój wielce dostojny sędzio pokoju!

SHALLOW.

Idę już, idę mój gospodarzu! — A! dzień dobry, trzykroć, stokroć dzień dobry szanowny Panie Page! Nie raczysz-li nam towarzyszyć? Idziemy na prawdziwą komedią.

GOSPODARZ.

Opowiedz mu mój półankarku, opowiedz o tych krotofilach!

SHALLOW.

Idziemy szanowny Panie Page być świadkami śmiertelnego pojedynku między Pastorem Evans i Francuskim Doktorem Cajus.

FORD.

Mój kochany gospodarzu mam z tobą pomówić słów parę.

GOSPODARZ.

Cóż mi tam powiesz mój półankarku!

(odchodzą na stronę).

SHALLOW.

Pójdiesz-li Pan z nami popatrzeć na tę walkę? Nasz pocieszny gospodarz został przez pojedynkujących obrany do przymierzania broni, i naznaczył im, jeżeli się nie mylę, dwa różne miejsca do stanności: Bo Pastor, jak słyshałem, cale nie myśli żartować. Posłuchaj Pan na czém zależeć będzie figiel!

GOSPODARZ.

Czy masz jaką chrapkę na mego grubego rycerza?

F O R D.

Nie, na honor nie mam żadnej. Ale przyrzekam ci garniec Madery, jeżeli mię z nim sprowadzisz pod nazwiskiem Karpia. Idzie tu o żart tylko.

GOSPODARZ.

A więc oto ci moja ręka półankarku, że się z sobą zejdziecie i rozejdziecie. Mój rycerz walna dusza! chodźcie robaczki! ubawimy się po uszy!

SHALLOW.

Wnet idziemy kochany gospodarzu!

P A G E.

Słyszałem że Francuz gracko wywija szpadą.

S H A L L O W.

Cyt! kochany Panie Page, jest to rzecz, na której i my nieco się znamy. Teraz Panowie wymyśliliście różne odległości, obchody, skradania się, krzyżowania i Bóg wie nie co: gdy tymczasem cała rzecz kochany Panie Page, tu! w sercu. Myśmy widzieli czasy, kiedy z długą obosieczną szablą czterech takich jak Pan moglibyśmy wprawić w koci taniec.

G O S P O D A R Z.

Ruszajcie się robaczki! chodźcie!

P A G E.

Idziemy, kochany gospodarzu, idziemy! Co do mnie, wolalbym ich słyszeć szwergocących pomiędzy sobą, niżeli widzieć uciekających się na szpady.

(wychodzą Gospodarz, Shallow i Page).

F O R D.

Chociaż Page taki Stoik i tak bezpiecznie polega na swojej ulomnej połowie, ja je-

dnak nie mogę wzbudzić w sobie tej łatwej wiary. Ona była z nim wczora w domu Paża, i skąd znowu mam wiedzieć co tam się działo? muszę dojść prawdy i nie będzie mi to trudnem gdy pójdę do Falstaffa przebrany. Jeżeli ona niewinna, trud mój nie będzie stracony: w przeciwnym razie dowiemy się nieocenionej prawdy! *(wychodzi)*.

S c e n a II.

Hotel Podwiązki.

(FALSTAFF i PISTOL).

FALSTAFF.

Nie, nie pożyczę ci ani szeląga.

PISTOL.

Jeżeli tak, więc świat będzie moją ostrzygą, którą ja mieczem otworzę. Ale ja Panu tę sumnę odsluszę.

FALSTAFF.

Nie—ani szeląga! Dosyć się już zaciągało Mości Panie na moje imię. Trzykroć musiałem błagać moich dobrych przyjaciół o odroczenie wypłaty twoich długów, bez

czego oba z swoim kolegą Nymem dawno-
byście już wyglądali z za kraty, jak para
pawijanów. Zasłużyłem na piekło uręcza-
jąc tych dobrych przyjaciół żeście dzielni
żołnierze i ludzie honorowi, a gdy u Mis-
striss Bridget zginęła rączka od wachlarza,
zaświadczyłem moim honorem że niema
jój u ciebie.

P I S T O L.

Alboż przedaź jój nie poszła na połowę?
Nie przyniosła-ż ona każdemu z nas po pię-
tnaście pensów?

F A L S T A F F.

Tak, niegodziwcze, tak! to ja mam potę-
piąć moją duszę gratis! Lecz czego się ty
czepiasz do mnie, jam dla ciebie nie szu-
bienica. Krótki nóż i w ciżbę łotrze, na
Urwańską ulicę, w twoją dziedzinę! Wszak
nosić mych listów tobie nie pozwala honor?
Ach ty morze niegodziwości! Ja, ja sam
z trudem mogę utrzymać mój honor, i to
niekiedy muszę zostawić bojaźń nieba na
lewěj stronie i osłaniać honor szatą konie-
czności: muszę wilać, nadrabiać, iść skieł-

zem; a ty łotrze chcesz zakrywać swoje łachmany, swój lesny wzrok, karczemne mowy i bluźniercze przekleństwa tarczą honoru; ty niechcesz słuchać rozkazów twojego Pana!

P I S T O L.

Postanawiam poprawę. Czegoż jeszcze można żądać od człowieka? (*wchodzi Robin*).

R O B I N.

Jakaś kobieta chce widzieć się z Panem.

F A L S T A F F.

Niech wnijdzie. (*wchodzi Zwawska*).

Z W A W S K A.

Dobry dzień, łaskawy Panie!

F A L S T A F F.

Dobry dzień, dobra kobieto!

Z W A W S K A.

Bez urazy pańskiej — to imię mi nie przystoi.

F A L S T A F F.

A więc dobra dziewczyno!...

Z W A W S K A.

Mogę poprzysiądz, że nią była i moja matka, gdy mię na świat przyniosła.

FALSTAFF.

Wierzę każdemu kto przysięga. Cóż masz do mnie?

ŻWAWSKA.

Mogę li prosić cierpliwości Pańskiej na słów parę?

FALSTAFF.

Choćby na parę tysięcy, moja kochana!

ŻWAWSKA.

Jest tu, proszę Pana, jedna Pani Ford.—
Racz Pan z łaski swojej przejść trochę bliżej, na tę stronę. Ja zaś mieszkam u Pana Doktora Cajus.

FALSTAFF.

No! dobrze! Cóż tedy? Pani Ford.... mówisz?

ŻWAWSKA.

Tak jest! Wielmożny Pan mówi prawdę.
Racz Pan odrobineczkę wziąć się bliżej na tę stronę.

FALSTAFF.

Upewniam cię że nas tu nikt nie podsłucha. Są to moi ludzie, moi własni ludzie.

Z W A W S K A.

A! jeżeli tak, to niech ich Bóg błogosławi na dobrych sług dla Pana.

F A L S T A F F.

I cóż? Pani Ford... co mi powiesz o niej?

Z W A W S K A.

Jest to Panie najlepsza osoba! Ale mój Jezu!... jaki z Pana swawolnik!... No! Niech tylko Panu Pan Bóg przebaczy i nam wszystkim!

F A L S T A F F.

Pani Ford—tedy...

Z W A W S K A.

Krótko mówiąc Pan ją wprowadziłeś w takie labirynty że to przechodzi wyobrażenie. Najpierwsi dworacy, kiedy dwór rezyduje w Windsor, nigdy ją nie mogli wprowadzić w takie labirynty, a jednak byli tu i rycerze, i Lordowie, i panowie z karetami: kareta dalibóg za karetą, list za listem, prezent za prezentem, a wszystkie pachły tak słodko (jak piżmo) lśniły się od złota i jedwabiu i przy takich czułych słówkach, i przy takich słodkich winach i cukrach, że odebrałyby

głowę każdej kobiecie, a od niej rękę Pana nie odebrały ani mrugnienia. Mnie samęj dziś jeszcze dawano dwadzieścia serafimów— Ale ja, uręczam Pana, że nie przyjąłabym nawet cherubimów w jakiej złej myśli. Krótko mówiąc żadnemu z tych panów nie udało się ani liźnąć z tej czaszy. A jednak byli tam i Hrabiowie, i co większa Oficerowie od boku samego Króla — i wszyscy się umyli, i gładziutko odeszli z kwitkiem.

FALSTAFF.

Ale prędkiej do rzeczy! Cóż mi od niej przynosisz mój Merkury w czepeczku?

ZWAWSKA.

Odebrała ona list Pański, za co kazała Panu oświadczyć tysiączne dzięki, i powiedzieć: że mąż jej nie będzie dziś w domu między dziesiątą a jedenaścą.

FALSTAFF.

Między dziesiątą i jedenaścą?

ZWAWSKA.

Tak, na honor, i wtedy Pan będziesz mógł zobaczyć, mówi ona, to malowidło, o którym Pan już wiesz. Męża wtedy nie będzie

w domu. Ach ta kochana kobieta takie biedne ma z nim życie. Jest to wcielona zazdrość. Nieboraczka nie zna ona za swoim mężem co to jest życie!

FALSTAFF.

Między dziesiątą a jedenastą. Oświadczyć mój aniołku tysiące ukłonów. Nie uchybię.

ZWAWSKA.

Pan mówisz jak prawdziwy rycerz! Ale jeszcze mam do Pana jeden kompromis. Misstriss Page kłania mu jak najniżej (i pozwól Pan sobie powiedzieć na ucho: że to jest arcy skromna i cnotliwa osoba, która jedna tylko w całym Windsorze nie wstanie i nie pójdzie do snu bez wszystkich pacierzy) otoż kazała mi ona powiedzieć że jej mąż rzadko wychodzi z domu; ztém wszystkiem spodziewa się że upatrzy chwilkę. Na honor, nie widziałam nigdy żeby kobieta tak za kim przepadała. Pan bez wątpienia musisz trochę znać się na czarach. Alboż nie zgadłam?

FALSTAFF.

Nie, upewniam cię że nie. Żadnych in-

nych czarów prócz jakichkolwiek moich przy-
miotów osobistych.

ZWAWSKA.

Niech Bóg Pana błogosławi za jego dobre
serce!

FALSTAFF.

Ale powiedz mi, proszę, czy żona Forda
i Paża zwierzyły się nawzajem swoich ku
mnie skłonności?

ZWAWSKA.

A toby było wybornie! Nie, nie spo-
dziewam się po nich aby do tyła były nie-
rozgarnione! Na honor, że to-by było wy-
bornie! Ale Misstriss Page żąda i prosi Go
na wszystko, abyś jęj Pan przysłał swojego
małego jermka. Mąż jęj szczególną ma anse
do małych jermków. Sam Page wyśmienite
człowieczysko! Żadna męzatka w Windsor
nie ma lepszego życia nad jego żonę. Robi
ona co chce, mówi co chce, bierze wszystko,
płaci za wszystko, kładnie się i wstaje kiedy
się jęj podoba, słowem wszystko czego chce
tylko: i wrzeczy samęj że zasługuje na taką
dyfferenciją, gdyż z nią nie popisze się za-

dna z Windsorskich kobiet. Pan jej musisz koniecznie posłać swojego jermka.

FALSTAFF.

No! to go poszlę.

ZWAWSKA.

Poszlij Pan, poszlij! On, widzi Pan, będzie mógł chodzić między Państwem od jednego do drugiego, i mieć w obu domach wolne antrza, tak, że będziecie mogli wiedzieć wasze myśli; chłopczyzna jednak o niczem wiedzieć nie powinien; bo nie dobrze żeby dzieci miały wiedzieć co złego. Co innego ludzie starzy, ci już mają poznanie i znają świat jak to mówią.

FALSTAFF.

Bądź zdrowa! kłaniaj się jednej i drugiej! Oto ci mój woreczek i prócz tego jestem zawsze twoim dłużnikiem. Malcze! idź za tą kobietą. *(wychodzą Zwawska i Robin).*

— Na honor, że te nowiny sprowadzą mię z rozumu!

PISTOL.

Więc ta rajfurka kupidyna poslem!

W czółno i w pogoń! Róbmy żywo wiosłem.

Ognia! to nasza zdobycz! lub zgiń rodzie
kobiet! (*wychodzi*).

FALSTAFF.

A widzisz stary Janie! Idź tylko dalej tą
drogą! Odtąd muszę być z większem usza-
nowaniem dla twojej podżyłej tuszy. Jeszcze
patrzę na nią mile, i jeszcze jest nadzieja
iż się może ona wypłacić swojemu Panu.
Dziękuję ci moja pocziwa bryło! Cóż? Niech
sobie mówią żeś za ogromna, bylebyś była
utoczona ze wdziękiem! (*wchodzi Bardolf*).

BARDOLF.

Sir Dżonie! Niejakiś Master Karp' chce
widzieć się i poznać z Wami. Przysłał
on Wam w darze na dzisiejsze śniadanie
kosz wina. 11).

11) Za czasów Szekspira był to zapewne sposób do za-
bierania znajomości w domach gościnnych. W dziel-
ku: „Merry Passages and Jeasts” (wesole żarty i
ucinki) znajdujemy dowcipną odpowiedź Biskupa
Corbet, daną z podobnej okoliczności posłancowi
sławnego Ben Jonsona. Gdy posłaniec składając
wino oświadczył że jego pan przysyła to w ofierze,
Corbet odpowiedział: „podziękuj przyjacielu swo-
„jemu Panu, lecz powiedz mu przytém że się omy-
„lił w wyborze, gdyż ofiary są zawsze palone.

FALSTAFF.

Karp' mówisz jego nazwisko?

BARDOLF.

Tak jest.

FALSTAFF.

Proś go do środka! (*Bardolf wychodzi*). Podobne Karpie nie mogą być nie pożądane, skoro pływają w takim rozcieku.— A więc kochane Panie Ford i Page mam was w sieci. Vivat! Via!

(*powraca Bardolf z przebranym Fordem*).

FORD.

Mój hold rycerzowi!

FALSTAFF.

Hold za hold! Pan życzysz ze mną mówić?

FORD.

Darujesz mi Pan że nie będąc mu od nikogo poleconym....

FALSTAFF.

Pan mię masz na swoje rozkazy—zostaw nas chłopcze! (*Bardolf wychodzi*).

FORD.

Widzisz Pan przed sobą dżentlmena, któ-

ry nigdy nie ślęczał nad złotem. Moje nazwisko Karp'.

FALSTAFF.

Szanowny Panie Karp! Byłbym bardzo rad mieć go w liczbie moich znajomych.

FORD.

Niemniej ja tego pragnę czcigodny rycerzu! Nie żebym to czynił z jakichkolwiek dla niego uciążliwych pobudek, gdyż rad bym był przekonać że łatwiej mogę być wierzycielem niżeli dłużnikiem: i to właśnie ośmieliło mię do tego swobodnego wstępu, na mocy przysłowia: „przed złotym worem, każde drzwi otworem”.

FALSTAFF.

Złoto Panie Karp jak dobry żołnierz toruje sobie drogę.

FORD.

Tak, lecz ma tę wadę że jest przyciężkie. Mam tu trzos z sobą, który mię zbyt sciska; jeżeli się Wam podoba, rycerzu, raczcie zdjąć ze mnie ten ciężar w połowie lub ze wszystkiem.

F A L S T A F F.

Nie wiem jeszcze w jaki sposób mógłbym zasłużyć na urząd Pańskiego Podskarbiego?

F O R D.

Raczej mnie posłuchać rycerzu!

F A L S T A F F.

Jestem na wasze usługi czeigodny Panie Karp.

F O R D.

Słyszałem żeście człowiek uczony rycerzu (daruj mi Sir Dżonie że będę mówił bez ogródek) i znam was już oddawna, chociaż, pomimo moich chęci, nie mogłem mieć sposobności zbliżenia się z Wami. To, co mam powiedzieć, odsłoni mu wiele, wiele moich ułomności, ale patrząc na nie, kochany rycerzu, rzućcie też okiem po za siebie, i przebieżcie listę swoich pomyłek, a mam nadzieję że mię nie potępicie: bo nikt zapewne nie wie lepiej od was jak łatwo błąkać się po tych rozdrożach.

F A L S T A F F.

Bardzo chętnie drogi Panie Karp! Słucham.

F O R D.

Jest w tém mieście jedna mężatka, nazwiskiem Ford.

F A L S T A F F E.

Tak.

F O R D.

Kochałem się w niej oddawna, i uręczam Go że ta miłość nie mało mię kosztowała. Chodziłem za nią krok w krok prawie, wyszukiwałem sposobności znajdowania się z nią razem, chwytałem każdą zrzeczność, w któręj mogłem przynajmniej ją widzieć, obsyłałem ją upominkami, i sypałem hojną ręką tym nawet, którzy mi tylko mogli powiedzieć co się jęj bardziej podoba: słowem ścigałem ją, jak mię ściagała miłość, skrzydłem niezmordowanem. Lecz nagrody, na jaką mogłem zasługiwać bądź przez moje przywiązanie, bądź przez ofiary, wiem dobrze że nie odebrałem żadnej, chyba że za nią mam policzyć klejnot doświadczenia, któremu się dokupił nader drogo, i który mię nauczył powtarzać że:

Miłość jest jak cień człowieka,
 Szkoda kto dla niej wiek trawoni,
 Kiedy ją gonisz, ucieka,
 Kiedy uciekasz, to goni. 12).

FALSTAFF.

Jak to! nie miałeś Pan od niej nawet
 obietnicy?

FORD.

Nigdy.

FALSTAFF.

Więc chyba nie nalegałeś Pan o to?

FORD.

Nigdy.

FALSTAFF.

Jakiegoż więc rodzaju była jego miłość?

FORD.

Podobną była ona do pięknego domu wystawionego na cudzej ziemi. Straciłem budowę przez omyłkę w wyborze miejsca.

FALSTAFF.

Lecz w jakim-że celu czynisz mi Pan te powierzenia?

12) Czworowiersz ten umieszczony tak jak się on znajduje na jednym z drzew w Adamkowie, majątności należącej do rodziny Niemcewiczów pod Brześciem Litewskim. Ma on być nieśmiertelną ręką Julijana Niemcewicza.

F O R D.

Racz mię dosłuchać Sir Dżonie! Upe-
wniano mię że lubo jest ona tak trudną dla
mnie, zdarzało się jęj wszakże upuszczać
czasem gałązkę myrtową, i że na tych przy-
padkach urosły niektóre pogłoski nie nader
przychylne jęj sławie. Zamiar więc mój
jest następny: Wyście, rycerzu, człowiek wy-
bornego wychowania, czarującej wymowy,
obszernych związków, znakomity ze swojego
miejsca i przymiotów zewnętrznych, po-
wszechnie znany z męstwa, dworności i głę-
bokiej nauki...

F A L S T A F F.

O! o! Panie!

F O R D.

Wierz mi Pan, gdyż nie możesz tego nie
znać do siebie. — Oto są pieniądze: nie
szczędź ich Pan, nie szczędź wszystkiego, co
mieć mogę, tylko w zamianę nie pożaluj mi
swojego czasu, ile go będzie potrzeba do
oblężenia cnoty tej kobiety: jeśli kto może
wyjść z tej walki zwyciężcą, to Pan naj-
prędzej.

• FALSTAFF.

Lecz będzie-li to się zgadzało z tą niepokonaną jego skłonnością, gdy mi uda się być zwycięzcą na polu, które Pan takbyś chciał sam posiadać? Zda mi się kochany Panie Karp' że przepisujesz dla siebie opaczne lekarstwa.

F O R D.

Chciēj Pan tylko zrozumieć do czego zmierzam. Teraz opiera się ona z takim zaufaniem na nietykalność swojej sławy, że nie śmiałbym odkryć przed nią niedoręczności moich uczuć; jaśniejse ona dla mnie takim blaskiem, jakiego wzrok mój znieść nie zdoła. Lecz jeślibym stanął przed nią z jakimkolwiek odkryciem w ręku, moje życzenia miałyby za sobą moc przykładu, zmusiłbym ją do ustąpienia za redutę czystości, sławy, wiary małżeńskiej, i do urońnienia tysiąca innych środków obrony, w których widzę teraz dla siebie spiżem najeżoną bateriją. Cóż na to powiesz Sir Dżonie?

FALSTAFF.

Panie Karp! zacznę od śmiałego rozporządzenia się waszém złotem; a teraz dajcie mi swoją rękę i przyjmijcie uręczenie dżentlmena że Pani Ford będzie Waszą.

FORD.

Rochany mój rycerzu!

FALSTAFF.

Panie Karp! zawierz mojemu słowu!

FORD.

Nie troszcz się o pieniądze Sir Dżonie! na nich nam nie zbędzie.

FALSTAFF.

Nie troszcz się o Panią Ford kochany Panie Karp! na niej nam nie zbędzie. Dziś (mogę mu z tém się zwierzyć) mam schadzke naznaczoną przez nią samę. Spółcześnie z jego tu przyjściem, wychodziła właśnie odemnie jej powiernica czy też pośredniczka, i uwiadomiła mię że mogę być u niej między dziesiątą a jedenastą godziną, gdyż o tej godzinie jej przekłety zrzęda, nudnik, zazdrośnik mąż nie ma być w domu. Przyjdź Pan

do mnie wieczorem, a dowiesz się o skutku tej wyprawy.

F o r d.

Nie mogę sobie dość powinszować dzisiejszej znajomości. A znacie-li rycerzu samego Forda?

F A L S T A F F.

A niech go spotka szubienica! Co mi tam do tego biednego głupca, rogala! Ztém-wszystkiem czynię mu krzywdę nazywając biednym. Mówiono mi że ten umojżeszowany zazdrośnik posiada góry złota, i dla tego właśnie jego żona zda mi się nader powabną. Myślę ją użyć za klucz do skarbów tego minotaura.

F o r d.

Cheiałbym abyś Pan znał Forda i mógł go uniknąć w przypadku.

F A L S T A F F.

A niech go tam spotka szubienica, tę szperkę mieszczańską! Ja go na wskrós prze-szyję wzrokiem, ja mu napędzę takiego pio-tra, gdy mu zabłyśnie moją laską, jak jakim meteorem nad rogami, że on nie znajdzie

sobie miejsca; a Pan tymczasem kochany Panie Karp' będziesz mógł cieszyć jego połowicę. Dowiedz się Pan do mnie wieczorem. Ford, jest to, abym zamknął w dwóch słowach wszystkie jego przymioty: głupi rogal i rogaty głupiec!— Nadejdź Pan do mnie wieczorem. *(wychodzi).*

F O R D.

Co za przekłety łotr Epikurejczyk! Serce ledwie mi nie pęknie z niecierpliwości. Niechże mi kto teraz mówi, że zazdrość jest niewczesna. Moja żona posyłała do niego; godzina naznaczona, układy podpisane; któżby o tém pomyślał! Nie prawdziwe-li piekło mieć żonę zdrajczynię! Moje łóżko ma być zhańbione, majątek ma pójść w ręce łotra, moja sława utracona, i jakby niedość na tém wszystkiem, muszę jeszcze słyszeć obrzydliwe przymiotniki z ust tego, kto mi wyrządza te krzywdy. I jakież jeszcze przymiotniki! jakie imiona! Amajmon brzmi jakkolwiek, Lucyper jakkolwiek, Barbason jakkolwiek: są to zaszczytne imiona djabłów, złych duchów; ale rogal, dobrowolny ro-

gal! Nie! i sam djabeł nie nosi takiego miana! Page jest osłem, nieczulym osłem! Wierzy on swojej żonie i nie chce znać zazdrości. O, wolałbym raczej powierzyć Hollandrowi masło, Wallijskiemu Pastorowi Evans sery, Irlandczykowi flaszkę z wódką, wolałbym powierzyć złodziejowi wierzchowca do najeżdżenia, niżeli powierzyć kobietę jej własnej straży. Oj te kobiety kobiety! Niech się im tylko co zamarzy, dopóty będą snuły, knuły, przemyślały, dopóki nie postawią na swoim: niech tylko im wlezie co w głowę, muszą dokazać swego, chociażby od tego miała pęknąć i sama głowa! Dzięki Niebu za moję zazdrość! Między dziesiątą a jedenastą! Uprzedzę ja ten zamach, spojrzemy się oko w oko z kochaną żoną—pomuszcze się na Falstaffie i pośmieję się nad Pażem! Idźmy! Lepiej trzema godzinami wcześniej, niż jedną minutą później. Rogi! fe! Rogi! fe! fe! fe!

(wychodzi).



S c e n a III.**Park Windsorski.****(CAJUS I RUGBY).****CAJUS.**

Jean Rugby!

RUGBY.

Jestem.

CAJUS.

So bila na segar?

RUGBY.

Ta godzina Panie dawno już przeszła,
o której Sir Evans przyrzekł się stawić.

CAJUS.

Pardieu! On dobszy się modlił f sfoj
brefijasze że nie się pokazał. On sbafile sfoja
dusza. Szeby on tu pszyszcz, ty Jean Rugby
nie sobaszylby jak on pójs nasad.

RUGBY.

On miał rozum; wiedział, że jeśli tu przyjdzie,
to Pan go zabije.

CAJUS.

Pardieu! Jeden śleż nie leszy f beszka
taka nieszyfa, jak on leszaliby nieszyfa, kiedy
ja jegoby sabil. Feśmie tfoja szpada

Jean Rugby, ja tobi posi jak ja jegoby
sabil.

RUGBY.

I, Panie, ja nie umiem fechtować.

CAJUS.

Feźmie, mosi, tfoja szpada lajdag!

RUGBY.

I, daj Pan pokój!—O! idą ludzie!

(*wchodzą Gospodarz, Shallow, Page i Slender*).

GOSPODARZ.

Jak się masz moja pyzo! Monsieur Do
ktorze!

SHALLOW.

Witamy Panie Doktorze!

PAGE.

Dzień dobry kochany Doktorze!

SLENDER.

Dzień dobry Panu Doktorowi!

CAJUS.

Po so tu pszyszli Was: jedyn, dfa, tszy,
szytry: po so asz sali sztyry?

GOSPODARZ.

Popatrzeć jak się też ty fechtujesz mój
półankarku, jak nacierasz, szermujesz na

prawo, na lewo, wzdłuż, wpoprzek, punto, sloceata, en renvers, hrym, brum i dusza precz! Który z was przecię poległ, czy tamten Etijopeczyk, czy ty, mój Gallu, Gallenie Eskulapie? Cóż, który, moje ty bzowe serduszko, czy ty, czy tamten drugi pasibrzech?

C A J U S.

Pardieu! To sali tkusz ten Pasteur! Puki ja szyję na świat, ja taki tkusz nie fisiał. On tu nie pokasał ani konszyk sfojego nos.

G O S P O D A R Z.

Za toś ty prawdziwy Król Kastylijski, ¹³⁾ Bombiza, Grecki Hektor!

C A J U S.

Biorę wi fszyski sa sliadki sze ja na jego szekał pięś: jedna, tfa, tszy, sztyry, pięś godzin—i on nie się pokasał.

S H A L L O W.

Za to on się pokazał mędrszym kochany Doktorze! Panowie oba jesteście lekarze, jeden duszy, a drugi ciała, pojedynek więc między wami byłby zupełnie wbrew i na-

13) Hiszpanie, po zniszczeniu *Armady*, byli przedmiotem najbardziej upokarzających porównań.

wspak waszemu powołaniu. Nie tak-li szanowny Panie Page?

P A G E.

Panie Shallow! chociaż Pan teraz jesteś urzędnikiem pokoju, wiemy przecież, że niegdyś byłeś mistrzem na pałasze.

S H A L L O W.

Milijon bomb! Szanowny Panie Page! chociaż już jestem stary i sługa pokoju, jednak gdy widzę obnażone szpady, jeszcze mi palce migocą. Czy to w sędziach pokoju, zacny Panie Page, czy w doktorach, czy w duchownych, nigdy nie wietrzeje zupełnie sól młodości. Wszyscyśmy synowie Ewy.

P A G E.

Prawda Panie Shallow!

S H A L L O W.

Zawsze to się odzywa szanowny Panie Page!—Mości Doktorze Cajus! przyszedłem tu w celu sprowadzenia Pana ze stanowiska. Jestem przysięgły sługa pokoju. Pan nie w jednym zdarzeniu okazałeś się biegłym lekarzem, a Sir Evans mądrym i cierpliwym

sługą kościoła: powinniście się więc Pano-
wie pojednać.

GOSPODARZ *(występując z powagą)*.

Za pozwoleniem wysokięż sprawiedliwo-
ści!—Jedno słówko mości gryzmoło!

CAJUS.

Grysi-mola so to jesd?

GOSPODARZ.

Gryzmoła w dobrěj Angielszczyźnie zna-
czy wojaka mój półankarku!

CAJUS.

Ja mislali sze to tego mola so gryzi pło-
tno. No poszeka ten djabl Evans jezeli ja
nie opetnę jemu uszy!

GOSPODARZ.

On też nawzajem skroi Ci kurtę.

CAJUS.

So to jesd skroi kurta?

GOSPODARZ.

To jest że domierzy mu załosycucz-
nienia.

CAJUS.

Oni, ja kse tego szeby on mnie skroil
kurta.

GOSPODARZ.

Biorę na siebie że go do tego naklonię.

CAJUS.

Barso sa to zienkuje.

GOSPODARZ.

Co większa mój półankarku,... (*zeicha do innych*) ale wy wprzódty kumie, i ty Panie Page, i wy Panie Slender idźcie przez miasto do Frogmore.

PAGE.

Nie prawdaż że tam zastaniemy Evansa?

GOSPODARZ.

Prawda. Zobaczcie w jakim też on humorze, a ja tymczasem przyprowadzę tam przez pola mojego Doktora. Alboż ile?

SHALLOW.

Idziemy!

(PAGE, SHALLOW I SLENDER DO CAJUSA).

Adieu kochany Panie Doktorze!

(*wychodzą*).

CAJUS.

Na honor ja musi sabić tego Pasteur. On do Anety Page rekomanduje jeden lajdag.

GOSPODARZ.

No to go jeszcze zabijesz. Ale teraz u-

śmierz swoją niecierpliwość, polej ją do licha zimną wodą i chodź ze mną przez pola do Frogmore. Zaprowadzę cię do jednej fermy, do której Anna Page zaproszona jest na podwieczorek; będziesz więc tam mógł podsiadać do niej. Alboż źle mówię mój gaszku?

C A J U S.

Na honor ja wam zienkuję: ja was s salego sersa lubi mój gospodasz, i bęsie fam daś s moich pasijent dobry stolofniki: Hrabi, Rysezy, Lordy, Zentlmen.

GOSPODASZ.

A ja za to będę twoim spółzawodnikiem do Anny Page. Czy dobrze?

C A J U S.

O! bon! barso dobszy. Ziękuję mój gospodasz!

GOSPODARZ.

A więc chodźmy!

C A J U S.

Iż sa mną s tylu Jean Rugby!



A k t T r z e c i.



S c e n a I.

Pole blisko Frogmore.

(SIR EVANS I SIMPLE.)

E V A N S.

Nu! poziz mnie mego kochana slusząsa Pana Abraham Slender, a fabiąsa się Simple, s która stron ty fyglondali tego Pana Carius so to fyduje siebie sze fon jezd fielki Doktor f medycyn.

S I M P L E.

Wyglądałem Panie i od Londynu, i od Parku, i od starego Windsoru, słowem ze wszystkich stron, wyjąwszy od miasta.

E V A N S.

Ja siebie najnuszéj prosi bęzie popatszyla
jeszcze f tanta strona! (*Simple wychodzi*).

— Buk mój smilofać się nademną, jaka
ja pełna słość i utrapiona f duch mój! Na
moje szysie! ja by byli kontenta szeby on
mnie oszukał i nie pszyszli! — Oeh! jak ja
melankolisofać! Jaby jemu rosbil na głofa
fszyskie jego smierzące flaszeszki szeby ja
tylko jego slapali!

(*Śpiewa.*)

Pszy srumyk, gdzie spifał
Ptaszki sfoja matrygał,
Ja srobi luszeszko s roszy,
Na kwiateczki się poloszy.
Pszy srumyk. ...

Aeh! jaka ja ma szególna dyspozisijon
do płasz —

— — gdzie spifał
Ptaszki sfoja matrygał,
Kdy ja sieział f Pabilon,
I plakał mego Sijon.

S I M P L E.

Idzie Panie z téj strony.

Gut !

Gdy ja siezial f Pabilon,
I plakal mego Sijon.

Pan tarsza sprafiedlifemu ! A szym fon
usbrojona ?

S I M P L E.

Nie widać przy nim żadnej broni. Ale
otoż od Frogmore idzie tu mój Pan Shal-
low, i jeszcze z nim jacyś dwaj inni Pa-
nowie.

E V A N S.

Daj mnie mego zutani, albo lepiej po-
tuszyna jego proszę pod sfoi pachy.

(*wchodzi Shallow, Page i Slender.*)

S H A L L O W.

Pastor nasz tu ! Dzień dobry Sir Hugo-
nie ! I w takim stroju ! Nie cudoż to wi-
dzicć gracza bez kości a doktora bez książek ?

S L E N D E R.

(O śliczna Anno Page !)

P A G E.

Czy w dobrém zdrowiu szanowny nasz
Pastor ?

E V A N S.

Niek Buk plogosłafi mego Dobrozićej sa ta attencijon.

S H A L L O W.

Cóż to? miecz i słowo? Czy jedném i drugim wojujesz kochany Pastorze?

P A G E.

I zawsze młody! W taki dzień reumatyczny ubrany leciuteczko!

E V A N S.

Jezd na to pefna pszyszyn, pefna rezon!

P A G E.

Przyszliśmy podać mu zrzeczność do dobrego uczynku kochany Pastorze!

E V A N S.

Slucham. So takiego?

P A G E.

Zostawiliśmy niedaleko stąd jednego nadier szanownego dżentlmena, który będąc zapewne od kogoś urażonym, zapomina na

cierpliwość i należną mu powagę w taki sposób, że tego opisać nie podobna.

SHALLOW.

Przeżyłem ośmdziesiąt lat z górą, a jednak jeszcze nie zdarzyło się mi widzieć, aby człowiek takiego stanu, wziętości i oświecenia do tyła się zapominał.

E V A N S.

Soż to jezd sa jeden?

P A G E.

Zda mi się że Pan go znasz: jest to Pan Doktor Cajus, sławny lekarz francuzki.

E V A N S.

Ak! na fszyskie rany mojego Sbfisiel! jaby lepiej ksiała szeby fy mnie fspomniali o supa s potasz.

P A G E.

Dla czegoż-to?

E V A N S.

On nie nigdy nie sliszał o Hipokrat i Gallen. Das ist ein Schelm! ein Schurke! Schuft! se fszyskim nieposzeifa szlofiek!

P A G E.

Założyłbym się że to jego czeka nasz Pastor z tą szpadą.

S L E N D E R.

(O śliczna Anno Page!)

(*wchodzą Gospodarz, Cajus i Rugby.*)

S H A L L O W.

Otoż nadchodzi i Doktor. Nie dopuście ich moi Panowie do siebie!

P A G E.

Schowaj do pochw szpadę kochany Pastorze!

S H A L L O W.

I wy Panie Doktorze zróbcie toż samo!

G O S P O D A R Z.

Rozbróćcie ich moje półankarki i puście na dysputę. Niech oni lepiej kaleczą naszą Angielszczyznę, niżeli ciało.

C A J U S. (*zeicha do Evansa.*)

Ja was en secret kse sapytaś: szemu to nie się stařili na umosiona gozina?

E V A N S (*zeicha.*)

No! no! będzie Faspan sierplifa! (*głośno*)
Jesze będzie na tego czas!

CAJUS.

Pardieu! ty jesd tkusz! jeden pies! a nie szłofieg!

EVANS. (zcicha.)

Skofa moj Dobrozićj sfego języg, szeby s nas się nie smiali suzy luzie! (*głośno.*) Ja pszeklęta lotr, rosbiję tfego głof s tfoja sama smierzasa apotek, ja siebie nauszy so to jezd nie przyjsć na nasnaszona miejsa!

CAJUS.

Diable! Jean Rugby! Monsieur hôte de jarretiére! Pan gospodasz Potfiąski! moli saraz: szy ja nie szekali na plas pięś gozin, szy ja nie ksiali jego sabiś f smierś?

EVANS.

Der Teufel! Jak ja jezd krzesijanska szłofiek, tak ten sam miejse byli nasnaszony. Mój Pan gospodasz bęzie sfiadszy!

GOSPODARZ.

Cicho Gallijo i Wallijo! Gallu i Wallijczyku! lekarzu duszny i cielesny!

CAJUS.

To f saměj rzeszy śliszno! excellent!

GOSPODARZ.

Cicho ! mówię , posłuchajcie waszego sekundanta . Za kogo wy mnie u diabła macie ? za dyplomatyka ? co ? za głębokiego polityka ? za Machjawella ? czy co ? Jazżbym miał utracić mojego Doktora , który mi tak hojnie daje mixtury i tynktury ? albo mojego proboszcza , mojego pastora , od którego każdej niedzieli słyszę przypowieści i powieści ? — Daj mi swoją rękę Doktorze ziemski ! ot tak ! a teraz ty Doktorze niebieski wyciągnij mi swoją ! ot tak ! — Synowie sztuki wyzwolonej ! jam was oszukał , jam naznaczył wam dwa miejsca do pojedynku . Cóż ? serca wasze mężne , skóry całe , niech więc skończy się wszystko na winie ! Chodźcie ! i dajcie nam w zakład swoje miecze ! Chodź wyznawco pokoju ! chodźcie ! chodźcie !

SHALLOW.

Na honor jedyny sekundant ! chodźmy
Mości Panowie !

SLENDER.

(O śliczna Anno Page !)

(wychodzą Shallow, Slender, Page i Gospodarz.)

CAJUS.

A!! teras srosumiali! oni ksą szeby my dfa sluszyli sa blasny! Ha! Ha!

E V A N S.

Gut! sehr gut! szeby potym śmiali się na nasz Rechnung! — O!! — Będzie przyjasiel monsieur Cajus! I my pomiarkuje s nasza dfa głofa jak się poms! — Pan mój mnie srosumiali? — jak fziąs rewanż na tego lotr, pijak, buffon, gospodasz!

CAJUS.

Oui! s salego mojego sersa! — On mo-
fil — prosto pojzie se mną à la ferme, gdzie
jesd Anette Page. On mnie oszuka!!

E V A N S.

No! jusz ja sa to nie sostał jemu sali
mosgofni! Wollen Sie! — pojzie f przed
mój Dobrozićj! (wychodzą.)



S c e n a II.**Wielka ulica Wintsorska.****(PANI PAGE I ROBIN.)****P. P A G E.**

Dalėj! Dalėj! nie zatrzymuj się mój mały gaszku! Tyś jak widzę przywykł iśdź krok w krok z tyłu, i nie odważysz się jeszcze być przewodnikiem. No! jakże, czy lepiej ci się podobą prowadzić nową swoją Panią, czy wolałbyś jak przedtęm patrzeć tylko na stopy Pana?

R O B I N.

Rozumie się na honor, że wolę być człowiekiem, niżeli jak dotąd karlem.

P. P A G E.

O tyś pochlebca mój chłopczyno! Można przewidzieć że będziesz dworakiem.

*(nadchodzi Ford.)***F O R D.**

Jakie szczęśliwe spotkanie! Dokądże to Misstriss Page?

P. P A G E.

Prosto do Pani Ford. Czy zastanę ją w domu?

F O R D.

Zastaniesz Pani i bynajmniej niezatrudnioną. Nie może ona sobie doradzić od nudów i zapewne czeka bardzo na Panią. Zda mi się, że po śmierci waszych mężów, Panie koniecznie się pożenicie.

P. P A G E.

Ani wątp Pan o tём : jak tylko znajdziemy dwóch ładnych mężczyzn.

F O R D.

Skądże to Pani dostałaś takie śliczne kurczątka?

P. P A G E.

Doprawdy że tak dziko brzmi nazwisko tego rycerza, który go darował mojemu mężowi, że w żaden sposób nie mogę sobie przypomnieć. Jak się nazywał twój przeszły Pan? malutki!

R O B I N.

Sir Dżon Falstaff.

F O R D.

Sir Dżon Falstaff?

P. P A G E.

Tak, on, on! Nigdy nie mogę zapamię-

tać jego nazwiska. On w ścisłej przyjaźni z moim dobrym mężem. To Pani Ford do prawdy w domu?

F O R D.

Jest, jest w domu.

P. P A G E.

A więc daruj mi Pan że pośpieszę — Na honor że jestem chorą gdy jej nie widzę.

(*odchodzi z Robinem.*)

F O R D.

Ma-li ten Page głowę? oczy? choć szczyptę rozsądku? Nie, to wszystko śpi w nim smaczno, bezwładnie! Wszakże ten chłopiec zanieś list o mil dwadzieścia tak łatwo, jak działa doniesie do celu o dwieście kroków. On szpieguje skłonności twojej żony, podsyca jej głupstwa, ułatwia zawady — I, proszę, z tym chłopcem idzie ona teraz do mojej żony! podobną burzę zdaleka odgadnąć można po kłębach kurzawy! Z nią chłopiec Falstaffa! śliczne układy! wszystko uprzątnione, i nasze kochane żony ręka w rękę biegną na potępienie — Ale ja go zachwyć! napasę wzrok męczarnią wierniej żony, zer-

wę maskę z tój obludnicy Page, okaże jaki jej mąż nieczuły i dobrowolny Akteon i wszyscy w sąsiedztwie dadzą mi oklask! *(bije godzina)* — Zegar i pewnoś że zastanę w moim domu Falstaffa, wzywają mię do zaczęcia poszukiwań. Nie mogę się omylić, ani narazić się na pośmiechy, gdyż tak pewny jestem że zastanę Falstaffa, jak jestem pewnym że chodzę po ziemi. Idźmy!

(wchodzi Page, Shallow, Slender, Gospodarz, Evans, Cajus i Rugby.)

SHALLOW, PAGE I INNI:

Witamy Pana Ford.

FORD.

Witam Panów; mam dziś u siebie dobry obiad i proszę ich z sobą.

SHALLOW.

Racz mię uważać za wymówionego Panie Fordzie!

SLENDER.

Imnie także. Dziś mamy obiadować z Miss Anną, a tój sposobności nie opuściłbym za tyle nawet dukatów, ile ich nie mogę prze-liczyć.

SHALLOW.

Dawno już chcemy zrobić weselisko Miss Anny z moim synowcem Slender, i dziś spodziewamy się mieć ostateczną odpowiedź.

SLENDER.

Mam nadzieję żeście mi nieprzeciwni mój teściu Page!

PAGE.

Bądźcie tego pewni Panie Slenderze! Lecz co się tycze mojej żony, to ona zupełnie za Panem Doktorem Cajus.

CAJUS.

Oui, na honor! I sama panienki nie od tego. Moja gospodyń Złafsky mofili mnie: sze Annette Faspan, c'est à dire mnie kocha.

GOSPODARZ.

A cóż mówicie o młodym Panu Fenton, który i tańczy, i robi antrsza, i pisze wiersze, i gada stylem niedzielnym, i zawsze młodo wygląda, i wiecznie pachnie kwietniem i majem. Ręczę że on najpiérwszy doskoczy do kobierca, jego pączek rozkwita ¹⁴⁾, ręczę was że on najpiérwszy doskoczy.

14) Szekspir napomyka tu o dawnym zwyczaju mło-

P A G E.

Przynamnięć że nie za moją zgodą. Jest to panicz bez grosza, a zadaje się z naszym rozwiozłym Księciem i z Poins, patrzy nadto z wysoka i za wiele umie. Niech się on nie spodziewa abym ja miał łatać dziury jego kieszeni. Jeżeli chce wziąć moją córkę, to niech ją bierze bez posagu; majątek, jaki mieć mogę, czeka na moją zgodę, a ta cale nie patrzy w tę stronę.

F O R D.

Więc proszę najuprzejmiej choć niektórych z Panów. Prócz dobrego obiadu, obiecuję was ubawić, pokażę wam osobliwość, potwor. Panie Page! kochany Doktorze! i wy Sir Hugonie musicie koniecznie pójść ze mną.

S H A L L O W.

A więc do widzenia! My tymczasem będziemy tem swobodniejsi z Miss Anną.

(wychodzą *Shallow i Slender.*)

dych wieśniaków, którzy nosili w kieszeni pączki kwiatów *batchelor's buttons*, tak nazwanych od podobieństwa do guzików (roślina z rodzaju *firletek lychnis*) i podług tego jak pączki rozwijały się lub sechły, wróżyli o skutku swoich miłostek.

CAJUS.

Idź do domu Jean Rugby i powiedz mu ja tam zaraz przysię.

GOSPODARZ.

Bywajcie zdrowe robaczki! Ja idę do mego poczciwego rycerza Falstaffa, który zapewne dawno mnie już czeka z butelką kanaryjskiego!

FORD. *(na stronie.)*

Ja myślę że mi się uda poczęstować go czem lepszym! wyskoczy mi on tak jak mu zagram!

— Chodźmy Gości Panowie!

EVANS.

Jusz izie, izie! Sobaszy so tam jezdź za potfor!



Scena III.

Pokój w domu Forda.

PANI FORD.

Chodźcie tu Janie! Robercie!

PANI PAGE.

Prędzěj! prędzěj! — A jest kosz od bielizny?

P. FORD.

Już mamy. — Ale gdzież Robin?

(wchodzą służący z koszem.)

P. PAGE.

Nieście prędzěj!

P. FORD.

Postawcie go tu!

P. PAGE.

Naucz-że swoich ludzi jak mają zrobić. Nie mamy ani chwili do stracenia.

P. FORD.

Pamiętajcież Janie i Robercie o czém wam wprzód mówiłam. Bądźcie na pogotowiu, a gdy was zawołam, przybiegajcie co tchu, bierzcie ten kosz na ramiona, nieście go nie zatrzymując się nigdzie, do praczkarni! na łakę Datchet, i tam wrzucicie go do błotnistego rowu nad samym brzegiem Tamizy.

P. PAGE.

Zrobicież to wszystko?

P. FORD.

Opowiedziałam im to już i przepowiedziałam może nie razy dwadzieścia. Idźcież i słuchajcie gdy was zawołam.

(służący wychodzą.)

P. PAGE.

Otoż i mój Robin!

(Robin wchodzi.)

P. FORD.

No! i cóż nasz czyżyku! cóż nam przynosisz?

R O B I N.

Mój Pan Sir Dżon czeka u drzwi ogrodowych.

P. PAGE.

Ale czy tylko byłeś nam wiernym małym figlarzu!

R O B I N.

Mogę poprzysiądz. Mój Pan nie wie żeś tu Pani, i pogroził mi nawet, jeślibym jej donosił o czemkolwiek, wieczną wolnością: gdyż zaklął się że mnie od siebie przepędzi.

P. PAGE.

Dobry z ciebie chłopczyną! Twoja mil-

kliwość będzie twoim krawcem i ubierze cię w nową kurteczkę i pańczochy. Idę się ukryć.

P. FORD. (*do Robina.*)

Idź powiedz swojemu Panu że jestem jedna.

— Ale Page nie zapomnij swojej roli!

P. PAGE.

Za to cię uręczam. W przeciwnym razie możesz mię wygwizdać! (*wychodzi*)

P. FORD.

— No! stara wodnista dynio! wypędzimy my z ciebie tę szkodliwą wilgoć! Nauczemy cię jak od sojek rozpoznawać turkawki!

(*wchodzi Falstaff.*)

FALSTAFF.

A więc Cię posiadam mój niebieski klejnocie! ¹⁵⁾ Teraz mogę już umrzeć, gdyż żyłem dosyć; to był ostatni kres moich życzeń! O błogosławiona chwilo!

P. FORD.

Rochany Sir Dżonie!

15) Wyrażenia z romansu Sidney'a: *Astrophel and Stella*.

FALSTAFF.

Pani Ford! Nie umiem udawać i słodzić wyrazów. Dozwol abym odkrył przed Tobą grzech, jaki mam w tej chwili na sercu: chciałbym aby twój mąż umarł, a przysięgam na niebo, że dziś jeszcze prosiłbym Cię na klęczkach abyś została Mylady.

P. FORD.

Ja zaś? Sir Dżonie! ze mnie byłaby bardzo biedna Lady.

FALSTAFF.

Niech mi dwór francuzki ukaże drugą podobną! Widzę dobrze że twój wzrok przyémilby blask diamentów, i że twoje brwi łuczkiem zakreślone równieby dobrze szły do ubrania amazońskiego, weneckiego, jak i do okazałego okrętowego stroju.

P. FORD.

Prosta chustka Sir Dżonie jedyny ubior, który mi do twarzy, a to dla tego, że ją w znacznej części zakrywa.

FALSTAFF.

Jesteś zdrajczynią, mówiąc językiem rycerskim, droga Pani Ford, gdy tak mówisz,

bo byłabyś najdoskonalszą z dam dworu,
 bo twoje śmiałe stąpienie w ubiorze nawet
 pasterki ukazałoby żeś Królowa ¹⁶⁾. Widzę
 dobrze czembyś być mogła, jeśliby nie los
 nieprzyjazny. Przyrodzenie było twym przy-
 jacielem! Nie możesz do tego się nie po-
 czuwać!

P. FORD.

Wierz mi Sir Dżonie że zgoła się nie po-
 czuwam.

FALSTAFF.

Więc cóż mię natchnęło miłością ku to-
 bie? Niech cię to przynajmniej przekona, że
 musisz mieć w sobie coś nadzwyczajnego.
 Powtarzam, że nie znam miódowych słówek,
 nie będę cię uręczał, żeś anioł, bóstwo, nie-
 bo, jak zwykły te złociste poczwarki z nie-
 wieściem sercem przy szpadzie, i od których
 zdaleka wionie jak od apteki w czasie zio-
 łobioru; to wszystko jest mi obcym, lecz
 kocham cię, ciebie tylko jedną, i na to
 zasługujesz.

16) Nie spodziewamy się aby kto mógł przypuścić, że-
 śmy chcieli parodijować w tem miejscu wiersz naj-
 większego z dzisiejszych poetów.

P. FORD.

Nie zdradzaj mię Sir Dżonie! mam powody lękania się abyś nie był zakochanym w Pani Page.

FALSTAFF.

Raczej powiedz Pani że kocham się w kratkach Counter-gate ¹⁷⁾, lub że mi są miłe wyziewy wapiennego dołu.

P. FORD.

A więc Niebu wiadomo ile go kocham, i jaką mu gotuję nagrodę.

FALSTAFF.

Zachowaj mi śliczna Ford te uczucia, i bądź pewną że na nie zasługuję.

P. FORD.

Jestem pewną że aż nadto zasługujesz Sir Dżonie! Inaczéj czyliżby mi przyszło...

ROBIN (za kulisq.)

Pani Ford! Pani Ford! — Pani Page jest u drzwi, cała zapłakana, i chce koniecznie widzieć się zaraz z Panią.

17) Więzienie za długi.

FALSTAFF.

Ona mię nie powinna widzieć. Skryję się za to obicie!

P. FORD.

Ach! zrób to proszę, gdyż ta kobieta jest to wcielona złośliwość. (*Falstaff się ukrywa.*)

(*wchodzi Pani Page i Robin.*)

P. FORD.

Coż to? co ci jest kochana Pani Page?

P. PAGE.

Ach! moja Ford! cożeś zrobiła! Jesteś osławiona, zhańbiona, zginęłaś na zawsze!

P. FORD.

Lecz o cóż idzie kochana Pani Page?

P. PAGE.

Mieć tak dobrego męża i dawać mu powody do takich podejrzeń!

P. FORD.

O jakich podejrzaniach mowa?

P. PAGE.

O jakich podejrzaniach! Zastanów się przecie nad sobą! Ach! jakem się na tobie zawiodła!

P. FORD.

Ale dla Boga! o cóż chodzi.

P. PAGE.

Mąż twój idzie tu z całym sądowym orszakiem, w celu wyśledzenia jakiegoś dżentlmena, któregoś ty miała ukryć z pobudek, podług słów jego, niezgodnych z waszą sławą. Zginęłaś na zawsze!

P. FORD. *(zeicha.)*

Mów głośniej! — *(głośno.)* Nie, mam nadzieję że to być nie może!

P. PAGE.

Dałby Bóg aby to być nigdy nie mogło iż masz u siebie obcego mężczyznę, ale to jest pewna, że mąż twój idzie tu z połową Windsoru dla poszukiwań. Przybiegłam na przód. Jeżeli jesteś niewinną, nie uwierzysz jak mię to cieszy, lecz jeśli masz u siebie jakiego przyjaciela, to niech się on co najprędzej unosi! Nie patrz tak nieprzytomnie, nie trać ducha, broń co tchu swojej dobrej sławy, albo pożegnaj się i z nią i ze szczęściem na zawsze!

P. FORD.

Cóż pocznę! Jest tu w rzeczy samej jeden dzentlmen moja przyjaciółko, i drzę nie tyle o moję sławę, ile o jego bezpieczeństwo. Oddałabym tysiąc funtów, byleby on w tej chwili znajdował się za domem!

P. PAGE.

I do kata z tém: *oddalabym, oddalabym!* Mąż twój już na progu. Obmyśl co najprędzej jakikolwiek dla niego sposób ucieczki. On tu się ukryć nie może — Ach! jakieś mnie zawiodła! — Ale postrzegam kosz — Jeśli on nie nader słusznej urody, to się w nim zmieści i przykryty noszoną bielizną może się wysliznąć. Właśnie o tej porze piorą w praczkarni na łące Datchet. Zawołaj dwóch ludzi, i niech go wyniosą!

P. FORD.

Niestety! On za otyły, aby się mógł tu zmieścić! Cóż pocznę?

FALSTAFF. (*wybiegając.*)

Dajcie mi zobaczyć! dajcie tylko zobaczyć! dajcie zobaczyć! zmieszczę się, zmie-

szyć się jakkolwiek! Idź za radą swojej przyjaciółki! zmieszczę się, zmieszczę!

P. PAGE.

Jak to! Sir Dżon Falstaff! Wasz-że to list rycerzu?

FALSTAFF. *(zeicha.)*

Ja cię kocham, i nikogo prócz ciebie. Dopomóż mi tylko tu się umieścić! Nigdy odtąd...

(włazi do kosza, a one go przyrzucają bielizną.)

P. PAGE. *(do Robina.)*

Dopomóż malcze do przykrycia twojego Pana?

— Zawołaj ludzi, Pani Ford! Ach! o-błudny rycerzu!

P. FORD.

Hola! Janie! Robercie!

(Robin wychodzi, wchodzi dwaj służący.)

Wynieście mi zaraz te brudy! Złóżcie kosz na drągu i żywo z nim do praczkarni! Ach! jakie rozlazłe capy! Żywo na łękę Datchet.

(wchodzi: Ford, Page, Cajus i Evans.)

F O R D.

Proszę do środka Mości Panowie! Jeżeli

moje podejrzenia bezzasadne, pozwalam wam śmiać się i naigrawać się nademną ile się podoba! (*do sług*). Stójcie! Gdzie to niesiecie?

SŁUŻĄCY.

Do praczkarni, Panie!

PANI FORD.

Cóż ci tam do tego gdzie niosą? wkrótce jak widzę zaczniesz się już wtrącać i do moich krobek.

F O R D.

O! Asani umiesz budować śliczne krobeczki! (*służący wychodzą z koszem*).

— Posłuchajcie Mości Panowie! Opowiem wam mój sen dzisiejszy. Ale zacznijmy od wzięcia kluczków! Oto są one! Idźcież z niemi do moich pokojów i przetrząśnijcie wszystkie kąty, a uręczam was że znajdziecie lisa. Ja sam stanę od nory, i on się nam żadną miarą nie wymknie!

P A G E.

Panie Ford! Uspokój się! Sam sobie ubliżasz!

F O R D.

Niech i tak będzie Panie Page! Ale nie

traćmy czasu! Chodźmy Mości Panowie!
Polowanie nie długo potrwa, a zabawimy się
wybornie. Proszę za mną!

E V A N S.

Fantastyczny i sasdroślify fisijon!

C A J U S.

Pardieu! Taki mod nima en France:
Fransuzy nie sna so to jesd mieć sasdroś!

P A G E.

Chodźmy Mości Panowie, kiedy mu ko-
niecznie tak się zachciało; zobaczmy na czem
się to wszystko zakończy!

(wychodzą Ford, Page, Cajus i Evans).

PANI PAGE.

Czyż nie dwakroć wyborze się stało?

P. F O R D.

Nie wiem z czego mam bardziej się cie-
szyć: z podejścia męża czy Falstaffa?

P. P A G E.

Ciekawam jak też było z tym ostatnim,
gdy twój mąż zapytał: co w koszu?

P. F O R D.

Zda mi się że to dość stosownie się stało,
żeśmy go odesłali do praczkarni.

P. PAGE.

Bodajby podobna kolej spotykała wszystkich jemu podobnych niecnotów !

P. FORD.

Ale myślę że mąż mój miał jakieś szczególne powody do tych poszukiwań, gdyż nigdy go jeszcze nie widziała do tyła zapędnym w zazdrości.

P. PAGE.

Potrafiśmy tego dociec: ale wprzód musimy dać jeszcze jakąkolwiek nauczkę naszemu rycerzowi, gdyż terazniejsza nie ostudzi w nim zapewne gorączki załotności.

P. FORD.

Poszlijmy doń tę głupią szczebiotkę Zwawską z przeproszeniem że go wrzucono do wody, i z nową nadzieją, za którą raz jeszcze będzie musiał przyplacić.

P. PAGE.

Wybornie pomyślano ! Więc zaprośmy go jutro na ósmą godzinę zrana.

(powracają: Ford, Page, Cajus i Evans).

F O R D.

Nie, nie mogę go znaleźć ! Może też

chlubił się ten łotr przedemną z rzeczy wyższych nad swoją możność.

PANI PAGE.

Słyszysz-li Pani Ford?

PANI FORD.

Słyszę, dobrze słyszę. W rzeczy samej postępujesz sobie dozbudowania PanieFord!

F O R D.

Tak, tak, moja Pani!

PANI FORD.

Niech mu Niebo nie pamięta tych myśli!

F O R D.

Amen! Amen!

PANI PAGE.

Pan uwłaczasz sam sobie.

F O R D.

Tak, tak, sam sobie.

E V A N S.

Jak tu szadna szyjąsa szłofiek nie jeżdż ta pokoj, pot kufry, na szafy, na pies i pot podłok — tak mnie Buk mój spaść f sądny zień!

C A J U S.

I ja posiada, nie byli tu ani jedna dusza!

P A G E.

Wstydz się Panie Ford, wstydz się, pomysł tylko nad sobą! Jakiś zły duch podnieca cię do tych marzeń. Jaby nie chciał mieć twojej choroby za wszystkie skarby Windsorskiego zamku!

F O R D.

To już mój błąd Panie Page! Ja zaś pokutuję.

E V A N S.

Pokutuje sa sfoja sla sumienia. Jego szon najposzeifszy między niefiast, między pięś tyśiądz i jesze pięćzed tyśiądz niefiast.

C A J U S.

I ja teras fize że jesd barzo zasny per-sonne.

F O R D.

No! no! Wszakżem zaprosił was Mości Panowie na obiad. Może tymczasem będzie wola przejść się po parku. Przebaczcie mi! Opowiem Wam potem co mię przywiodło do tego kroku. Chodź żono! Chodź Pani Page! Proszę was o przebaczenie, proszę z całego serca.

P A G E.

Chodźmy Mości Panowie, ale dajmy sobie słowo że go sownie nadręczymy. Z mojej strony zapraszam jutro Panów na śniadanie, a potem na ptaki z wybornym sokolem. Czy zgoda?

F O R D.

Co do mnie zgoda!

E V A N S.

Gdzie jeżdż jedna sgoła, sąfsze będzie miała moj druga kompani.

C A J U S.

Gdzie jeden szyli dfa, tam Cajus i ja!

F O R D.

Więc idźmy! (*Cajus i Evans zostają*).

E V A N S.

No! moj Dobrozięż sżeby jutro szasem nie sapomniał o ten wyszekany szelm, nasz Pan gospodasz!

C A J U S.

O! bon! jusz my jego nauszy!

E V A N S.

Pszekłeta safandul! gafęd! buffon!

(*wychodzą*).



S c e n a IV.**Pokoj w domu Paża.****(FENTON I ANNA PAGE).****F E N T O N.**

Pozyskać twego ojca jest mi nie podobna,
 Prożno mię doń odsyłasz Aneto nadobna!

A N N A.

Jakże bez jego zgody! . . .

F E N T O N.

Dość mi na twój zgodzie!

On znajduje przeszkody w wysokim mym rodzie,
 Mniema żem zubożony przez życie wystawne,
 Ze ląknę jego bogactw — i niemniej zabawne
 Upatruje zarzuty: że się z pany bratam,
 Ze towarzystwem sobie nierównych pomiatam,
 I w końcu jedna piosnka: że pragnę twój rękę,
 Jak spadkodajnych względów dalekiej stryjenki.

A N N A.

Może też i prawda? . . .

F E N T O N.

Nie, przysięgam na niebo i na przyszłość moję!
 Wprawdzie pełną zbiorów, (przyznać się nie
 boję),

Zbliżyła mię ku tobie; lecz skorom się zbliżył,
 Odtąd podobną myślą już się nie poniżył;

Przenioslbym ciebie, luba, twą urodę, cnoty,
Chociażby mi za inną deszcz miał polać złoty!

A N N A.

Fentonie kochany!

Staraj się zjednać ojca: a jeśli starania
I nieodstępne prośby, i czasu przemiany
Nie zdołają go zmiękczyć, posłuchaj!

(*odechodzą na stronę*).

(*wchodzą: Shallow, Slender i Zwawska*).

S H A L L O W.

Przerwij Zwawska te szeptły! Mój Syno-
wiec przemówi za sobą.

S L E N D E R.

Dajcie mi pićrwěj zebrać się z duchem!—
No! jużem tak dobrze jak gotów.

S H A L L O W.

Nie trwoż się bo synowcze!

S L E N D E R.

Ja się nie trwożę. Ona dla mnie zgoła
nie straszna, ale tylko się lękam.

Z W A W S K A.

Posłuchajcie-no Panno Anno! P. Slender
chee z wami mówić.

A N N A.

Już idę! (*do Fentona*.) To wybor mego ojca!

— Ach! tę nudnych wad rzeszę, brak nawet rozsądku,

Wszystko przed nim zaslania ponęta majątku!

ZWAWSKA.

Moje najgłębsze uszanowanie Panu Fenton! Mam do Pana dwa słowa.

SHALLOW.

Miss Anna się zbliża: idź na spotkanie synowcze!— O moje dziecię! był czas gdyś miał ojca!

SLENDER.

Tak, miałem ojca Miss Anno! Stryj mój wie o nim wiele śmiesznych anegdot. Opowiedzcie kochany stryju Miss Annie, jakim sposobem jednego razu ojciec mój wywabił z cudzego kurnika parę karmnych gęsi.

SHALLOW.

Miss Anno! mój synowiec ją kocha.

SLENDER.

W rzeczy samej tak, jak ani jednej z kobiet naszego hrabstwa.

SHALLOW.

On jest w stanie utrzymania tak ślicznej żony, odpowiednie jej urodzeniu.

S L E N D E R.

Jaką tylko wybierzecie sobie suknią Miss Anno, z ogonem czy bez ogona, byleby w gatunku nieco niższym od tych, jakie noszą żony koniuszych tutejszego hrabstwa.

S H A L L O W.

On wam ofiaruje przezemnie sto pięćdziesiąt funtów na wyprawę.

A N N A.

Szanowny Panie Shallow! Pan być może narzucasz swoje słowa Panu Slender.

S H A L L O W.

Dziękuję śliczna Miss za ten znak dobrych chęci! Synowcze! Miss Anna żąda abyś sam mówił.

A N N A.

Co mi Pan rozkażesz?

S L E N D E R.

Co mi Pani rozkażesz?

A N N A.

Smiałabym spytać jaka w tém jego wola?

S L E N D E R.

Moja wola! Doprawdy że o tém nie warto wspominać! Ale pojmuję żart Pani! Cha!

cha! cha! Nie! Dzięki Bogu dotąd zdrów
jestem zupełnie, i nie pomyślałem jeszcze
o wyrażeniu na piśmie mojej ostatniej woli.

A N N A.

Racz Pan oświadczyć, jakie są jego wzglę-
dem mnie chęci?

S L E N D E R.

Na honor, z mojej strony nie nie chcę
od niej, a przynajmniej nader mało. Jej
ojciec i mój stryj, porobili z sobą układy,
z których jeśli co będzie, to dobrze: w prze-
ciwnym razie szczęście szczęśliwemu! Oni
lepiej odemnie mogą was oświecić jak się
te rzeczy mają. Chciej Pani zapytać o tém
u swojego Papy — oto on właśnie nadchodzi.

(wchodzą Page i Pani Page).

P A G E.

Mój Slender i Aneta! kochajcie się wzajem!

Ale cóż to! postrzegam i Pana Fentona!

Pan nas masz w oblężeniu, ale mu znać dajem,
Że co do naszej córki, ta już narzeczona!

F E N T O N.

Czcigodny Panie Page! racz mnie wysłu-
chać!

P. P A G E.

Panie Fentonie! prosimy go abyś nie widywał się z naszą córką.

P A G E.

Ona nie dla niego przeznaczona.

F E N T O N.

Checiałbym tylko prosić o dwa słowa.

P A G E.

Nie! Pan znasz moje myśli, proszę mię oszczędzić.
Pójdziemy Panie Sędzio! Chodź zięciu Slenderze!
Pan Fenton mi ubliża. (*wychodzą*).

ZWAWSKA. (*do Fentona*).

Przemów Pan do matki!

F E N T O N.

Pani! kocham Anetę, świadkiem Niebo, szczerze,
I w zamiarach najczystszych, choć te nie poznane,
Ściągają mi gniew tylko i Waszę przyganę.
Lecz w twojej mocy Pani nasze wspólne szczę-
ście...

A N N A.

Droga matko! nie zezwól nigdy na zamęcie
Z tym półglówkiem Slenderem —

P. P A G E.

Uspokój się Anetto! mam męża dla ciebie.

Ż W A W S K A.

Mego doktora Cajus.

A N N A.

O, niech mię raczěj żywą do dołu zagrzebie,
Niechaj zabije młotem, kto chce z nim połączyć!

P. P A G E.

Uspokój się Aneto! nie dajesz mi skończyć—
A Pan Fenton daruje że mu nie odpowiem,
Nim o skłonnościach córki z ust jej się nie dowiem;
Teraz zaś go pożegnam, gdyż dłużej z nim bawić
Nie powinnam, by męża w nowy gniew nie
wprawić.

(wychodzi z córką).

F E N T O N.

Żegnaj czcigodna Matko! Żegnaj luba Anno!

Ż W A W S K A.

Wszystko to moja robota! Jak powiedziałam jej: czyż Pani oddasz swoją córkę
za tego głupca Doktora? — tak i patrz Pan
zaraz wszystko inaczej!

F E N T O N.

Dziękuję kochana Zwawska i proszę Cię
oddaj dziś wieczorem ten pierścionek Ane-
cie; a to dla Ciebie! *(wychodzi).*

ZWAWSKA.

Niech Ci Bóg da zdrowie! Co za wyborne serce! Dla człowieka z takim jak on sercem, kobieta gotowaby biedz przez ogień i wodę! Na honor chciałabym koniecznie żeby albo mój Pan, albo Slender, albo Fenton miał Miss Annę! Będę się o to starała dla ich wszystkich, gdyż przyrzekłam każdemu: osobliwie jednak Fentonowi! — Ale wszakże to mam biedz do Falstaffa z polecenia naszych kobiet! Co za gap' ze mnie że tu jak grzyb przyrosłam!

S c e n a V.

Pokój w hotelu Podwiązki.

(FALSTAFF I BARDOLF).

FALSTAFF.

Przynieś mi tu Bardolfie kwartę wina i piczystego! (*Bardolf wychodzi*).

— Dożyłem więc do tego, iż jak nadpsuty pekeflejsz wyniesiono mię pociechu i wrzuceno do Tamizy! milion djabłów! Jeżeli

raz jeszcze zdarzy się ze mną co podobnego, to niech wszystek mój mózg obróci się w masło i idzie najpierwшему psu na kolendę! Łotry te cisnęły mnie do rowu z taką obojętnością, jak gdyby to był rzut w półtora dziesiątka ślepych jeszcze szczeniąt, i można miarkować po mojej bryle z jaką musiałem lecieć chyżością; jeśliby piekło miało być dnem tego rowu, zapewne że oparłbym się aż w piekło! Jedyne szczęście że brzeg w tém miejscu był miałki i piaszczysty, a to jak dwa i dwa cztery, takbym niezawodnie utonął: rodzaj śmierci, którym najbardziej się brzydzę, gdyż od wody człowiek nabrzmiwa, i łatwo pomyśleć jaki stos mummii przedstawiłby zgon takiego jak ja topielca!

(Bardolf powraca z winem).

BARDOLF.

Zwawska chce widzieć się z Panem.

FALSTAFF.

Daj mi tu piérwój trochę wina dla rosprowadzenia niém wody Tamizowój, gdyż czuję że mój żołądek tak ochłodzony, jak gdybym

łykał zamiast pigulek kulki śniegu od zapalenia nerek. Wołaj jej tu!

BARDOLF.

Proszę do środka Pani Zwawska!

ZWAWSKA.

Za pozwoleniem Pańskim! — Najmocniej przepraszam! — Dobry dzień Wielmożnemu Panu!

FALSTAFF. *(do Bardolfa).*

Zbierz do diabła te kieliszki, i zrób mi przedzój winnej polewki!

BARDOLF.

Czy z żóltkami?

FALSTAFF.

Czystej! czystej! Na co mi tam te kurczenie zarody w winie! *(Bardolf wychodzi).*

— Cóż tam moja Zwawska?

ZWAWSKA.

Przychodzę tu łaskawy Panie z powodu Pani Ford.

FALSTAFF.

O! miałem już z jej powodu niemało

wody ¹⁸⁾); i leżałem w wodzie, i teraz jeszcze pełen jestem wody.

Z W A W S K A.

Ach! mój Boże! Ona nieboraczka zgola temu nie winna. Jest to błąd, pomyłka służących, którzy nie zrozumieli jej rozkazu.

F A L S T A F F.

Nie, to mój błąd, moja pomyłka że za-wierzyłem obietnicom płochęj kobiety!

Z W A W S K A.

Ach! gdybyś Pan wiedział i widział ile ona nad tē m cierpi, serceby mu przewróciło się z żalu. Mąż jej wychodzi dziś z rana na ptaki: ona więc życzy sobie widzieć się z Panem między ósmą a dziewiątą. Kazala mi ona co temu o tē Pana zawiadomić — Ręczę że Panu wróci się dziś za wczorajszą przygodę!

F A L S T A F F.

Dobrze, nadejdę! ale powiedz jej niech pomyśli czego jest wart przecię mężczy-

18) Falstaff igra tu wyrazem *ford*: woda.

zna ; niech się zastanowi nad własną ułomnością , i sądzi o mojem poświęceniu !

Ż W A W S K A.

Dobrze , powiem jej tak.

F A L S T A F F.

Nie zapomnij ! Więc mówisz że koło ósmej a dziewiątej.

Ż W A W S K A.

Tak Panie ! im wcześniej tém lepiej.

F A L S T A F F.

No ! dobrze ! idź i powiedz że nie omieszka.

Ż W A W S K A.

Upadam do nóg Pańskich ! *(wychodzi)*.

F A L S T A F F.

Dziwi mię że tak długo nie ma tu tego Karpia. Przysyłał on abym na niego zaczekał. Jego pieniądze bardzo mi się podobają — Ale otoż i on widzę ! *(wchodzi Ford)*.

F O R D.

Dobry dzień Sir Dżonie !

F A L S T A F F.

Dobry dzień Panie Karp ! Przychodzisz

Pan zapewne dla dowiedzenia się jak też mi poszło z Panią Ford.

F O R D.

Tak w rzeczy samej Sir Dżonie!

F A L S T A F F.

Nie chcę klamać. Byłem o naznaczonej godzinie.

F O R D.

No! i jakże się udało?

F A L S T A F F.

Bardzo nieszczęśliwie Panie Karp'!

F O R D.

Jako to! Więc cofnęła swoje przyrzeczenie?

F A L S T A F F.

Nie, nie to jest Panie Karp', ale jej biedny rogal, jej mąż, szanowny Panie Karp', którego zazdrość w ustawicznem trzymalarum, nadszedł w tej właśnie chwili, gdy się zaczęły uściski, pocałunki, oświadczenia, słowem na samym wstępie naszej komedii, a z nim czereda przyjaciół, których on na swoją biedę sprowadził dla szukania kochanka swojej żony.

F O R D.

Jak to! wtedy gdyś Pan znajdował się w jego domu?

F A L S T A F F.

Tak, wtedy gdym się tam znajdował.

F O R D.

I on go szukał, i nie znalazł?

F A L S T A F F.

Posłuchaj Pan tylko! Szcześnie nadbiegła niejaka Pani Page, uwiadomiła nas o nadchodzącem niebezpieczeństwie, i za jej poradą, bo biedna Ford zupełni straciła głowę, wyniesiono mię w koszu z bielizną.

F O R D.

W koszu z bielizną!

F A L S T A F F.

Tak do licha! w koszu z bielizną, uwinionego w przeznaczone do prania koszule, spodniczki, pańczochy, serwety, tak, że omal się nie zatchnął w tej cieśni i w tym zbiorze wyziewów.

F O R D.

I jak długo tam Pan leżałeś?

FALSTAFF.

Posłuchaj tylko Panie Karp', com ucierpiał, chcąc skłonić tę kobietę do złego, dla waszego dobra. Spowitego w koszu, dwaj draby, służący Forda, dźwignęły na rozkaz swojej Pani, i niosły już na drągu, pod imieniem brudnej bielizny na łękę Datchet, gdy wtém spotyka ich we drzwiach sam Ford, i dwa czy trzy razy pyta co niosą? Drżalem jak listek, aby ten szaleniec z nowiem na głowie, nie zajrzał do kosza, ale przeznaczenie chciało widać aby on pozostał na zawsze ze znakiem księżyca w nowiu, i jam się rąk jego wysliznął. Posłuchaj jednak dalej Panie Karp'! Cierpiałem męki potrójnej śmierci, raz od strachu, aby mię nie odkrył ten zazdrośny kozieł, drugi raz od ciasnoty dusząc się zwinięty w kółko jak sprężyna, i siedząc w postawie zupełnie niezgodnej z moim ogromem, jakby do dania kulka, nareście oddychając tém przesyconém powietrzem. Pomysł o tém kochany Panie Karp', pomysł że moja tusza równie jak masło musi lękać się gorąca, i uznaj

cudo że człowiek, w którym siła trawienia i odmykania się porów w nieprzerwaną czynności, mógł się nie udusić. Na dobitkę, kiedym już pływał we własnej tłustości, jak Parmezan, i myślałem że lada chwila zapęlgnę ogniem wewnętrznym, zostałem dla ochłodzenia wrzucony do Tamizy. Było to rzucić do wody żelazo rozpalone do czerwoności! Pomyśl tylko o tém Panie Karp!

F O R D.

Na honor czuję na tém niewypowiedzianie, żeś Pan dla mnie tyle ucierpiał. Teraz więc nasze przedsięwzięcie już stracone, gdyż go Pan zapewne nie zechcesz powtórzyć.

F A L S T A F F.

Panie Karp! niech będę wrzucony do Etny, jak byłem wrzuconym do Tamizy, jeżeli to tak się zakończy. Jój mąż wychodzi dziś na ptaki, i otrzymałem już powtórne poselstwo, abym się stawiał między ósmą a dziewiątą godziną.

F O R D.

Już też ósma wybiła.

FALSTAFF.

Czy tak? Więc muszę być na miejscu. Mając czas wolny nadejdzie Pan do mnie dla odebrania sprawy z dzisiejszego poranku; koniec, bądź pewny Panie Karp, uwieńczy jego oczekiwania. Adieu! Będziesz ją miał! uręczam honorem! Uręczam Was Panie Karp, że wystrychniemy Forda — jak należy! (*wychodzi*).

FORD.

Hm! Ha! Sen-li to czy na jawie? Czy śpisz Fordzie! Obudź się, opamiętaj się! Obudź się! obudź się Panie Fordzie! (*trzęsie siebie za ramie*). Patrz! oto masz płamę na całej sukni! otoż to być żonatym, mieć kosze i bieliznę! (*po chwili namysłu*). — Tak! odsłonię przed światem moje blizny, ale teraz schwytam już i rozpuśnika. On jest w moim domu: on mi się nie może wysliznąć, nie podobaa aby się mógł wysliznąć! Jużci też ta góra nie weisnie się ani do pultynka, ani do puszki od pieprzu; jednak ażeby djabeł, jego przewodnik, nie dodał mu swojej pomocy, przetrząsnę miejsca nawet nie-

podobne ! Chociaż nie mogę uniknąć tego, czém jestem, jednak nie przeto poddam się z pokorą mojemu przeznaczeniu. Jeśli już nie ma sposobu nie nosić rogów, więc przynajmniej usprawiedliwię przysłówie, i pokażę że umiem rzucać mojemi rogami na wszystkie strony ! (wychodzi).

A k t C w a r t y.

S c e n a I.

U l i c a.

(PANI PAGE, ZWAWSKA I WILHELM).

PANI PAGE.

Jest-li już on w domu Forda? Jak ci się zdaje?

ZWAWSKA.

Już być musi, a przynajmniej wnet tam będzie. Ale na honor że się on heroicznie gniewa, iż go wrzucono do wody. Pani Ford prosi Pani zaraz do siebie.

P. PAGE.

Będę u niej za chwilę, ale wprzód muszę

odprowadzić mojego małego do szkółki —
Ołóż i jego nauczyciel! Dziś jak uważam
dzień wolny od nauk. (*wchodzi Evans*).

— Czy dziś Sir Hugonie nie będzie lekcji?

E V A N S.

Nie będzie. Pan Slender dała permission
szeby dziesi biegala.

Ż W A W S K A.

Niech mu Bóg da za to zdrowie!

P. P A G E.

Sir Hugonie! Mąż mój mówi że nasz syn
zgola nie korzysta z nauk. Chciej mu Pan
uczynić kilka pytań z przedmiotów, których
się uczy.

E V A N S.

Choź Filchelm! i stoi prosto s sadarta
głofa!

P. P A G E.

Chodź tu moje dziecię, patrz w oczy swo-
jemu nauczycielowi i odpowiadaj śmiało na
jego pytania!

E V A N S.

Na fiele liszb zieli się fszyskie imie?

W I L H E L M.

Na dwie.

Ż W A W S K A.

Tylko na dwie! To tylko dwa na świecie imiona? Proszę zajrzeć do kalendarza: Bogumiła, Zofija Helena, Anna, Katarzyna, Hen...

E V A N S.

Milszy, lepiej milszy! Filchelm! jak ty poliezieć: stary?

W I L H E L M.

Senex.

Ż W A W S K A.

Senes? Ciekawam na co się zda stary zwietrzały senes?

E V A N S.

O! milszy! smiluj się kiedy nis nie sna! So to jezd lapis? Filchem!

W I L H E L M.

Kamień.

E V A N S.

A so to jezd kamień?

W I L H E L M.

Lapis.

E V A N S.

Fysmienito! Teras slucha dopszy na py-

tanie Filchelm! Jak będzie rozic się przedmego artykuł?

WILHELM.

Od zaimku, i przypadkuje się następnie:
Singulariter nominativo: hic, haec, hoc.

E V A N S.

Nominatífus: hic, haec, hoc. Smialo Filchelm! Genitífus: hujus, hujus, hujus—
a jak będzie accusatífus?

WILHELM.

Hinc.

E V A N S.

O!! poszuka lepiej sfsoja głofa Filchelm:
accusatífus: hunc, hanc, hoc.

Ż W A W S K A.

Huk! hak! hok! na honor że taką łaciną
gadają drwale!

E V A N S.

Smiluj się skofa sfego jesyg moja Imość!—
No! Vocatífus Filchelm!

WILHELM.

Vocativus: O!

E V A N S.

Przysfyszai się moje ziesko że focatifus: caret.

Ż W A W S K A.

Na co to mój Boże! dziecko przyzwyczajać do karet!

E V A N S.

I snofu sfoja!

P. P A G E.

Daj pokój kochana Żwawska!

E V A N S.

Mój Filehelm! jak będzie deklinofać nominatifus in plurali: barbarus?

W I L H E L M.

Pierwszy przypadek: barbari.

Ż W A W S K A.

Wstydź się, wstydź się Pan, po co ma wiedzieć dziecko o przypadkach tej niegodziwej Barbary! Ucz go Pan lepiej czegoś rozumnego, a nie o przypadkach tej bezbożnicy!

E V A N S.

So tobi stali się Zfałski?

Z W A W S K A.

Bo tego już ścierpieć nie można! Szwar-gocz Pan sobie, hokaj z nim i hikaj wiele mu się podoba, ale mój Wiluś nie powinien jeszcze wiedzieć o takich rzeczach!

E V A N S.

Ty oszalali Zfafski! Szy ty nie rosumi że ja uszyć liszby, pszypatki i rozai fetlug grammatyk i na najnofszy system! Fi! jaka okraniszona szlofięg!

P. P A G E.

Nie wtrącaj się bo już Zwawska!

E V A N S.

Pesiz nam jesze Filchelm jak deklinofać: qui, quae, quod?

W I L H E L M.

Doprawdy zapomniałem.

E V A N S.

Qui, quae, quod, cujus, cujus, cujus, et zetera! A jak drugi ras bęsie tak sapomniala, to ja tobi pszypomni że asz bęsie: aj! aj! aj! — No isz sobie teras kręsić głofa!

(Wilhelm wychodzi).

P. PAGE.

On uczeńszy niż się spodziewałam.

E V A N S.

O! on ma szalony szuprafski pamięć! —
Saluję rąszki u mego Dobrozik!

P. PAGE.

Adieu! Sir Hugonie! Pojedziemy kochana Zwawska! możeśmy tu już za długo bawiły! (*wychodzą*).



S c e n a II.

Pokój w domu Forda.

(FALSTAFF I PANI FORD).

FALSTAFF.

Widząc twój smutek, droga Ford, zapominał o wszystkiem, com dla niej uciepiał. Poznaję że umiesz cenić moję miłość, i nawzajem przyrzekam Ci najzupełniejsze poświęcenie się, nie tylko droga Ford w zwyczajnych obowiązkach miłości, lecz i w tych nieodzownych obrzędach, które ją urozmaicają i upiększają.

— Ale dziś zupełnie jesteśmy bezpieczni!

P. FORD.

Mój mąż, kochany Sir Dżonie, wyszedł polować na ptaki.

P. PAGE. (*za teatrem*).

Otwórz kochana Ford! prędkiej! prędkiej!

P. FORD.

Wejdz do tego pokoju Sir Dżonie!

(*Falstaff się ukrywa*).

P. PAGE.

Jak się masz moja droga? Czy prócz nas jest tu kto w domu?

P. FORD.

Nie ma nikogo prócz naszych ludzi.

P. PAGE.

Czy tylko doprawdy?

P. FORD.

Doprawdy. (*złecha*). Mów głośniej!

P. PAGE.

Ach! jakżem rada że nikogo tu nie znajduję.

P. FORD.

Dla czego?

P. PAGE.

Jak to dla czego? Bo twój mąż powrócił do swoich raptusów. Wyrabia on na ulicy takie dziwy z moim mężem, piorunuje tak hojnie przeciw wszystkim żonatym, i złorzeczy tak serdecznie wszystkim córkom Ewy, jakiejbykolwiek barwy one były, i tak dziko bije siebie w czoło, krzycząc: wyrastajcie! wyrastajcie! że największe szaleństwo, jakie kiedykolwiek widziałam, może się nazwać umiarkowaniem, słodyczą, cierpliwością, w porównaniu z tem wszystkim. Ach jakżem rada że nie znajduję tu grubego rycerza.

P. FORD.

Jakto! Alboż o nim jest wzmianka.

P. PAGE.

Mąż twój o nim tylko jednym mówi: przysięga że w czasie ostatnich poszukiwań został on wyniesionym w koszu mimo jego samego nosa, i zaklina się że Falstaff jest tutaj. Dla nowego doświadczenia swojej podejrzliwości odwołał on z polowania mojego męża i całe towarzystwo; nie uwierzysz

więc ile mię to cieszy że on raz jeszcze zostanie ukaranym.

P. FORD.

Jak on może być blisko? kochana Page!

P. PAGE.

Nie dalej, jak na końcu ulicy i wnet tu będzie.

P. FORD.

A więc zginęłam, gdyż rycerz jest tutaj.

P. PAGE.

Jak to! A więc tobie wieczna hańba, a jemu śmierć nieuchronna! Jakaż z ciebie kobieta! Dla Boga! wyprowadź go stąd co najprędzej! Raczej wstyd niżeli morderstwo!

P. FORD.

Jakaż drogą zdoła on uciec? Jak go ocalić? chyba znowu umieścimy go w koszu!

(Falstaff' wybiega).

FALSTAFF.

Nie, za nie nie chcę do kosza! chociażby on miał tu mnie znaleźć!

P. PAGE.

Ach! trzęj bracia Forda strzegą drzwi

z odwiedzionemi pistoletami, tak, że nie ma żadnego sposobu wyjścia: inaczéj mógłbyś się jeszcze wysliznąć nim on nadejdzie. Lecz i cóż uczynisz.

FALSTAFF.

Wciśnę się do kominka.

P. FORD.

Po polowaniu strzelają oni zawsze w komin z pozostałych nabojów. Wleź raczéj do pieca!

FALSTAFF.

Gdzież on jest? pokażcie mi tylko!

P. FORD.

Ach szukać on będzie zapewne i w piecu. Ma on spisany rejestr wszystkich szaf, kufrów, pudeł, składów, sklepień i studni, i podług téj listy wszystko przetrząśnie. Nie, w domu ukryć się nie możesz.

FALSTAFF.

A więc wyjdę.

P. PAGE.

Jeżeli wyjdiesz jak stoisz Sir Dżonie, czeka cię śmierć niezawodna. Chyba wyjdiesz przebrany.

P. FORD.

Jakżeż go przebierzemy?

P. PAGE.

Na honor nie wiem! Ani jedna suknia na niego nie przyjdzie: a jeśliby to mieć można, to pod kapeluszem, chustką i puklami mógłby się wyknąć.

FALSTAFF.

Drogie moje anioły! wynajdźcie cokolwiek! Raczej ostateczność niżeli nieszczęście!

P. FORD.

Przypominam że otyła ciotka mojej służącej z Brentford zostawiła tu na górze jedną ze swoich sukien.

P. PAGE.

Ach! prawda! na honor że jej suknia jak raz przyjdzie. Ona tak gruba jak nasz rycerz. Biegaj na górę Sir Dżonie!

P. FORD.

Bież nie tracąc czasu Sir Dżonie! My tymczasem z Panią Page obmyślimy jakikolwiek ubior na głowę.

P. PAGE.

Prędzěj tylko, prędzěj! My wnet nadbieżymy i dokończymy twojego stroju. Włóż tymczasem suknię! (*Falstaff wybiega*).

P. FORD.

Cheiałabym aby go mój mąż spotkał w tym stroju. Nie może on cierpieć tej baby z Brentford, przysięga że ona czarownica; zakazał jej tu przychodzić, i w przeciwnym razie pogroził nawet kijami.

P. PAGE.

Niech go Niebo podprowadzi pod trzcinę twojego męża, a potem już niech sam diabeł prowadzi trzciną!

P. FORD.

Czy w rzeczy samej mój mąż idzie?

P. PAGE.

Bez żartu i coś przebąkuje o koszu. Jak też mógł on o tém się dowiedzieć?

P. FORD.

Dójdziemy tego zaraz, gdyż kazałam znowu ludziom podobnie jak wczoraj spotkać go z koszem.

P. P A G E.

Dobrze, ale on wnet tu będzie. Potrzeba co prędzej ustroić naszą Brentfordską czarownicę.

P. F O R D.

Muszę wprzód nauczyć ludzi jak mają zrobić z koszem. Idź prędzej na górę, a ja nadbiegnę zaraz z puklami. *(wychodzi)*.

P. P A G E.

Szubienicy byłoby za mało dla tego niegodziwca! Nie można go dosyć ukarać!

Niechaj nasz przykład jeszcze raz przekona,
Ze się pustota z cnotą łączy snadnie;

Dla złych, wesołość kraina wzbroniona,
A cicha woda wre i kipi na dnie! *(wychodzi)*.

(Pani Ford z dwóma służącymi).

P. F O R D.

Nieście ten kosz, a gdy spotkacie Pana, i on wam każe się zatrzymać, postawcie kosz na ziemi! Spieszcie! *(wychodzi)*.

SŁUŻĄCY.

No! podejmuj!

DRUGI SŁUŻĄCY.

Gdyby tylko dał Bóg nie było tu znowu jakiego rycerza!

ISZY SŁUŻĄCY.

Nie, nie ma dzięki Bogu! Widać to po ciężarze. Wolałbym nieść trzy centnary ołowiu. (*podejmując kosz*).

(*wchodzą: Ford, Page, Shallow, Evans i Cajus*).

F O R D.

Zgoda, zgoda Panie Page! ale jeżeli okaże się nie po twojemu, z jakim wstydem będziesz musiał cofać to wszystko! — Postawcie ten kosz na ziemi łajdaki! Ty idź i zawołaj tu mojej żony! — No, zaczynaj się ruszać Panie gachu! — Podle istoty! wyście uknowały, uprządły, ukartowały przeciw mnie spisek! ale wasz doradzca, djabeł, tą razą zostanie zawstydzony! No! moja żono! Pani Ford! Chodź-że kiedy cię wołam, chodź, pokaż nam, jakie tam fraszki, jak nazywasz, idą do praczkarni?

P A G E.

Na honor, to już przechodzi granice!

Panie Ford nie można cię dłużej tak zostawić ; powinienes być zamkniętym.

E V A N S.

Oszalali, szysto oszalali ! jak psy f kanikul !

S H A L L O W.

W rzeczy samój Panie Ford to nie dobrze ! (*wchodzi Pani Ford*).

F O R D.

Nie dobrze, ale tak jest, jak mówię. — Chodź tu, przybliź się Pani Ford, zacna małżonko, skromna kobięto, cnotliwa istotto, która masz takiego głupiego, takiego zazdrośnego męża ! chodź-że ! wszak moje podejrzenia niesłuszne ?

P. F O R D.

Biorę Niebo za świadka że tak jest, jeżeli te podejrzenia ściągają się do czegokolwiek niegodziwego.

F O R D.

Wybornie ! Miedziane czoło ! zapieraj się do końca ! No ! wychodź ptaszku !

(*wyrzuca z kosza bieliznę*).

P A G E.

To już za daleko!

PANI FORD.

Nie wstydzisz-że się przetrząsać te brudy!

F O R D.

Zobaczemy kto tu kogo nauczy wstydu!

E V A N S.

Tak nie robi szadna szłofiek rosumna!
Szy będzie kładli ręka f tego so jesze trzepa
do praskarnia! Fe! poszuś mój Pan Ford!

F O R D. *(do służących).*

Opróżnić ten kosz! mówię.

P. F O R D.

Jak to? zastanów się co chcesz robić!

F O R D.

Panie Page! Jak jestem człowiekiem, tak
wczoraj w tym koszu wyniesionym stąd zo-
stał mężczyzna. Dla czegoż-by nie mógł
być on tu znowu! Jestem pewnym że jest
on w moim domu. Mam w tej mierze do-
wody niemyślne — i zazdrość moja nie śle-
pa. Wyrzucicie mi stąd zaraz te wszystkie
plótna!

P. FORD.

Jeśli by tu miał znajdować się człowiek,
to chyba by musiał zamienić się w muchę.

EVANS.

I pehli! — ksiąka pociezić.

PAGE.

Nie, tu być nie może człowiek!

SHALLOW.

Na honor że to jest nie dobrze Panie Ford!
to go krzywdzi!

EVANS.

Pan Ford! skieruje lepiej sfoja inten-
cijon na modlitwa i nie będzie słuchać co po-
fiada jego serdeszna sasdrość!

FORD.

No! nie ma tu kogo szukałem!

PAGE.

I nie ma go nigdzie, prócz w twojój głó-
wie.

FORD.

Pomożcie mi go wyszukać ten raz jeszcze;
jeżeli nie znajdę, czego szukam, nie proszę
już was o żadne nad sobą względy; możecie
mnie obrócić w igraszkę obiadową, i mówić

o mnie: zazdrośny, jak Ford, który szukał kochanki swojej żony w orzechowej lupinie. Lecz ten raz jeszcze uczynicie mi zadość; ten raz tylko!

P. FORD.

Pani Page! Zejdźcie tu ze starą Elsbeth, gdyż mąż mój chce przejrzeć wszystkie pokoje.

F O R D.

Z jaką starą Elsbeth?

PANI FORD.

Z ciotką naszą służącą z Brentford.

F O R D.

Co! z tą starą czarownicą, z tą przekle-
tą rajfurką ¹⁹⁾! Nie zakazałem-li jej wstępu
do naszego domu? Ona tu zapewne z ja-
kimś zamiarem!— Nam ludziom, nieznajo-
mym z piekłem, skąd wiedzieć co ona knuje

19) Angielscy Kommentatorowie słusznie poniekąd uwa-
żają, że przestrojenie Falstaffa, jako wybieg nieda-
leko szukany, należałoby przenieść na miejsce ko-
sza, a kosz położyć na miejscu drugiem. Zawsze
jednak Szekspir osłabia bardzo zreżcznie słabość
swojego powtórnego wynalazku, gdy przypuszcza
Forda rozgniewanym na czarownicę.

pod pozorem swoich szatańskich szeptów!
Te wieszczby, czary, wróżby, czytania na
dłoni, wyższe nad naszą przenikliwość. Ale
ja ją uczęstuję. Prosimy tu, uczona wróż-
biarko, przekłeta Cyganko!

PANI FORD.

Rochany mężu! Moi Panowie! Nie do-
zwólcie pokrzywdzić stariej kobiety!

*(wychodzi przebrany Falstaff, prowadzony przez
Panią Page).*

PANI PAGE.

Chodź kumo Elsbeth! daj mi swoją rękę!

F O R D.

O! ja usługę jej lepiej moją ręką. Precz
stąd czarownico! *(bijąc Falstaffa)*. jędz! Cy-
ganko! wiédźmo! Precz stąd! precz! Ja
cię nauczę wieszczbiarstwa! *(Falstaff wychodzi)*.

PANI PAGE.

Nie wstyd-że mu? Biédna kobiéta zapewne
przychoruje.

P. F O R D.

A może i umrzeć! Będzie to dla nas o-
bojga z honorem!

F O R D.

Niech ona złamie szyję! a Asani bądź łaskawa nie wspominaj nam o honorze!

E V A N S.

No! fszysko to mosze pyć sze fona sna szary. Ja barso nie lubi, kiedy kobita jezd s brodą, a ja fiziali u niej broda pod chustka.

F O R D.

Checiecie-li mi towarzyszyć moi Panowie! Proszę was ten tylko raz ostatni być świadkami końca mojej zazdrości, a jeśli nie zawiniemy pomyślnie do portu, pozwalam abyście odtąd mówili: Ford szczeka a nie mówi!

P A G E.

Uczyńmy raz jeszcze zadość jego dziwactwom! Chodźmy Mości Panowie! (*wychodzą*).

P. P A G E.

Na honor on z nim oszczędł się jeszcze dosyć po ludzku!

P. F O R D.

Nie! powiedz raczej dosyć niełitościwie!

P. PAGE.

Kij ten powinienby być poświęconym i zawieszonym na ołtarzu, gdyż dopełnił dobrego dzieła.

P. FORD.

Jakże ci się zdaje, możemyż jeszcze, jak kobiety uczeiwe i przy świadectwie dobrego sumienia, posunąć dalej naszą zemstę?

P. PAGE.

Djabeł rozpusty zapewne nienawiedzi go już więcej, jeżeli tylko nie zapisał się on mu przez krwawy cyrograf.

P. FORD.

Powiemyż naszym mężom jakieśmy go przyjęły?

PANI PAGE.

Bez wątpienia, chociażby dla tego tylko, aby twojemu mężowi wybić z głowy jego przywidzenia. A jeśliby się im zdało utracić tę zalotną kłodę jeszcze więcej, w takim razie nie odmówimy im naszej posługi.

P. FORD.

Zalóżę się że oni go zechcą zawstydzić

publicznie, i w rzeczy samej bez tego żart nie byłby zupełnym.

P. PAGE.

Nie dajmyż ostygnąć żelazu: kujmy je póki gorące!



Scena III.

Hotel Podwiązki.

GOSPODARZ I BARDOLF.

BARDOLF.

Panie! Niemcy żądają trzech koni do najeżdżenia. Księżę ich ma jutro przybyć do dworu, chcą więc oni wyjechać na jego spotkanie.

GOSPODARZ.

Jakieżby to Księżę tak tajemniczo podróżował! Nie słyszałem nic o jego przyjeździe do dworu — Muszę pomówić sam z temi Niemcami — Czy rozumieją oni po angielsku?

BARDOLF.

Rozumieją Panie. Ja ich wnet przywołam.

G O S P O D A R Z.

Nie — wyjdę sam do nich. Ja im koni nie pożaluję, ale też i opatrzę ich po swojemu. Cały tydzień zajmują mi oni dom. Musiałem dla nich odmówić innym gościom; to im nie ujdzie płazem; powinni mię oni wspomnieć w swojej ojczyźnie! *(wychodzą)*.

S c e n a IV.

Dom Forda.

(PAGE, FORD, PANI PAGE, PANI FORD i EVANS).

E V A N S.

To taki sielki szeński snót o jaka ja nigdzie i nie szylała.

P A G E.

I wam przysłał dwa listy spólcześnie?

P. P A G E.

O jednej niemal minucie.

F O R D.

Odpuść mi, przebacz żono ciężkie posądzienia.
Prędzej przypiszę słońcu winę chłodu, cienia,
Nizeli tobie płochość — Tyś, Aliko miła,
Niedowiarka w wyznawcę enoty twój zmieniła.

P A G E.

Dobrze, już dobrze, niech się na tē m kończy!
 Zle kto obrażać i płaszczyć się rączy.
 Wy, swawolnice, kończcie wasze psoty,
 Choć mu zapewne nie stanie ochoty
 Biedz po raz trzeci, by tak smutnie wrócić.

F O R D.

Cóż możesz nowym ich planom zarzucić?

P A G E.

To, że on przecię ma głowę na karku,
 I o północy nie pójdzie do parku.

E V A N S.

Kiedy fon jusz pyl, jak ja tu s boku sli-
 szy, na sam środek Temza, i dostał taki trak-
 tament ot Pan Ford sa to, sze pszebrali się
 sa baba, to fon nie przyść fięsej; jego sialo
 ubiszofan i duch skruszon!

P A G E.

I ja tak myślę.

P. F O R D.

Jak go spotkacie, myślecie raczej o tē m,
 Reszta już naszym niech będzie kłopotem!

P. P A G E.

Wiecie dawne o Hernie myśliwcu podanie?
 (Hern był niegdyś dozorcą tutejszego bornu)

Ze codzien zimą, gdy północ nastanie,
 Krąży on w koło starego jaworu,
 I rogami sąsiednie psuje w parku drzewa,
 Odbiera krowom mleko, do wymion krew wlewa
 I potrząsa łańcuchy, i liśćmi szeleści
 Tak okropnie, że dzięki tej gminnej powieści,
 Dotąd park jest postrachem mieszkańcom Wind-
 soru.

P A G E.

Tak, przyrosły przesady do Herna jaworu;
 Lecz cóż stąd?

P. P A G E.

Otoż dziś o północy na nasze wezwanie
 Falstaff tam w stroju Herna i z rogami stanie.

P A G E.

Dajmy iż on mieć będzie nierozsądku tyle,
 Lecz cóż wy z nim poczniecie figlarne motyle?

P. P A G E.

Wysłuchajcie nas tylko! wszystko obmyślane!
 Poprzystrajamy dzieci: Wilhelma, Anetę,
 I jeszcze kilku malców w ubiory zielone,
 (Mamy już w myśli dla nich całą tualetę),
 W ogniste wieńce, w grzechotki, dzwoneczki,
 Iskryjemy w zasadzce; a gdy przyjdzie śmialek,
 Oskoczy go rój sylfów, gnomów i rusalek,
 I powita dzikimi tany i piosneczki.

Tu już przestrach nam doda do ucieczki skrzydel,
 A rycerz nasz zostanie w orszaku straszydel,
 Które go szczypać będą, duchów obyczajem,
 Popychać i odpychać od siebie nawzajem,
 I piszczeć przeraźliwie, dla czego w tej porze,
 Przybył on na to miejsce w szyderyczym ubiorze?

P. F O R D.

Póty go szczypać będą i piec pochodniami,
 Póki nie wyzna prawdy jak żak pod różgami.

P. P A G E.

Wtedy wypadniem hurmem, rogi mu zerwiemy,
 I w tryumfie do Windsor z upiorem wejdziemy.

F O R D.

Leez niech dzieci umieją dobrze swoje role,
 Gdyż się inaczej Falstaff nie da wywieść w pole.

E V A N S.

Ja jusz ich nauszy stusofna piosneszki
 i fszysko so potszeba. Ja sam bęsie prze-
 brany sa szort i bęzie jego pszypiekal s po-
 chodnia.

F O R D.

Wybornie! Idę zaraz dla dzieci po maski.

P. P A G E.

Ja Anetę przebiorę za wrózek królowę,
 Ale trzeba nam tylko czarodziejskiej laski.

P A G E.

Więc daj jej białą suknię i myrty na głowę!

(na stronic).

Ja szepnę Slenderowi niech ją w drodze schwyta
I zaślubi w Etonie. Zręczność wyśmienita!

(głośno).

Więc szliście do Falstaffa!

F O R D.

Ja pod postacią Karpia pójdę doń na żwiady,
I zrozumieć jak pójdą te wszystkie układy.

P. P A G E.

Pójdą, pójdą wybornie — tylko dla upiorów
Dostarczcie nam co prędzej masek i ubiorów.

E V A N S.

Przeźj, przeźj moi Dobroziej! To będzie
sudofna komedi i barzo poszcife szelmostf!

(Page, Ford i Evans wychodzą).

P. P A G E.

Idź Ford kochana! Niech wnet Żwawska bieży
I zaklnie tego trutnia honorem rycerzy!

(wychodzi Pani Ford).

P. P A G E.

Ja tymczasem mojego Cajusa pocieszę,
Że Aneta dziś jeszcze będzie jego żoną,
Choćby dla stu Slenderów była przeznaczoną!
Slender głupiec! — choć doktor, zblądził też w tę
rzeszę.

Ale on ma bogactwa, i wziętość u dworu,
I postawić na swojem! mam w tém punkt honoru!
(wychodzi).

S c e n a V.

Hotel Podwiązki.

(G O S P O D A R Z I S I M P L E).

G O S P O D A R Z.

Cóż mi tam powiesz mój nicostrugany
dragu, mój osowiały cietrzewiu! Mów tylko
prędko, żywo, gracko, śmiało!

S I M P L E.

Chciałbym, proszę Pana Gospodarza,
pomówić z Sir Dzonem Falstaffem, i przy-
slany z tém jestem od Pana Slendera.

G O S P O D A R Z.

A więc o to masz przed oczyma jego po-
kój, jego dom, zamek, kotary i łóżko o-
bozowe, a na ścianach świeżo i nowiutko
namalowaną historyją syna marnotrawnego;
idź, zapukaj, zahukaj, a on ci odpowie tak
głośno, jak najstarszy z ludożerców! No!
pukaj-że!

SIMPLE.

Widziałem że jakaś stara kobięta tylko-
co poszła do niego. Ja więc, proszę Pana,
lepięj tu zaczekam, póki ona nie wyjdzie,
bo nawet, prawdę mówiąc, do nięj to mam
interes.

GOSPODARZ.

Co! kobięta! Ona mi jeszcze gofowa wy-
kraść rycerza! — Mój bochenku! mój pół-
ankarku! Sir Dżonie! Odezwij się z głębi
żołnierskich płuc twoich: czy jesteś w do-
mu? — To twój gospodarz, twój wierny
służeczka ciebie woła!

FALSTAFF. (*z góry*).

Co mi powiesz kochany gospodarzu!

GOSPODARZ.

Jakiś Waluch z Czeskiej Tartarii czeka tu
twojęj baby; zwindują do licha na dół, nie
trzymaj u siebie! Moje poczeiwe ściany go-
towe zarumienić się ze wstydu.

(*wychodzi Falstaff*).

FALSTAFF.

W rzeczy samęj miałem dopięro u siebie
jednę staruszkę, ale już wyszła.

SIMPLE.

Proszę Pana czy nie była to wróżka z Brentford.

FALSTAFF.

Tak, wróżka z Brentford. Proszę ciebie, mój gawronie, cóż miałeś do niej?

SIMPLE.

Mój Pan, Panie, Pan Slender, widząc jak ona przechodziła przez ulicę, posłał mię w pogon za nią zapytać: czy Pan Nym, który u mego Pana ukradł lancuch, ma go u siebie czy nie?

FALSTAFF.

Mówilem z nią właśnie o tém.

SIMPLE.

I cóż ona przecię? proszę Pana.

FALSTAFF.

Mówiła że ten sam, który ukradł łańcuch Panu Slenderowi, ma go u siebie.

SIMPLE.

Dalipan że i ja tak myślałem! Ale chciałbym pogadać z nią sam na sam, bo mam do niej jeszcze więcej od mego Pana.

FALSTAFF.

Cóż tam jeszcze więcej? powiedz nam!

GOSPODARZ.

O! tak! mów i to żywo!

SIMPLE.

Nie, tego nie mogę przed nikim zasłonić.

FALSTAFF.

A przed nami głupcze musisz zasłonić, jeżeli nie chcesz skosztować tej szpady.

SIMPLE.

I, Panie, tu idzie o to tylko, że mój Pan chce wiedzieć czy jest jego przeznaczeniem mieć Pannę Annę Page, lub nie?

FALSTAFF.

Tak, powiedz że to jest jego przeznaczeniem.

SIMPLE.

Ale co takiego Panie?

FALSTAFF.

Mieć ją lub nie. Idź i powiedz że tak mówiła wróżka.

SIMPLE.

Mogęż to, proszę Pana, śmiało powiedzieć mojemu Panu?

FALSTAFF.

Najśmielcój mój kochany!

SIMPLE.

Dziękuję Wielmożnemu Panu! Otoż dopiero pocieszę mojego Pana! (*wychodzi*).

GOSPODARZ.

Mądryś jak klecha mój półankarku! — Ale czy w rzeczy samej miałeś u siebie wróżkę?

FALSTAFF.

Tak, miałem mój gospodarzu! Nauczyła mnie ona więcej, niżbym się mógł nauczyć przez całe życie, i co dziwniejsza, bezpłatnie! Owszem ja to jeszcze dostałem za naukę!

(*wbiega Bardolf*).

BARDOLF.

Panie! złodziejstwo! wierutne złodziejstwo!

GOSPODARZ.

A ty jak tu łajdaku! gdzie moje konie?

BARDOLF.

Pogalopowały Panie ze złodziejami. Ledwie wyjechalismy za Eton, aż ten Niemiec,

za którego siodłem siedziałem, jak obróci się raptem, jak pełnie mnie przez łeb do rowu, tak, że ledwie się opamiętał: a oni we trzech, jak jakie djabły Weneckie, jak trzech doktorów Faustów, zniknęli mi z oczu.

GOSPODARZ.

To oni lotry wyjechali na spotkanie swojego Księcia. Wara! Nie mów mi że oni uciekli. Niemcy poczciwy naród!

(*wchodzi Evans*).

EVANS.

Gsie mój Pan gospodarz?

GOSPODARZ.

Cóż tam Sir Hugonie?

EVANS.

Będzie dopsze pilnofal swój Rechnung! Jedna dopra mój przyjasiel tylko so pszyjechali na ten miasto, i mosi, sze tu jezd kompani, sloszony s tszy niemieski sloziej, so jusz pokradla f Readings Maidenhead i Colebrook fszyska koni i pienięży u gospodarz. Ja fas o tém osrzega f dopra intencjon. Fy, mój gospodarz, taka szlofielk rosu-

mna i pełna fesołi koncepty, i tak dopsze
umi śmiać się — to nie tšzepa szęby faskto
eszukał! No! bęzie sdrofa mój ęospodasz!

(*wychodzi*).

(*wchodzi Cajus*).

C A J U S.

Gzie jesd mon hôte de Jarretiêre?

G O S P O D A R Z.

Tu jestem Panie Doktorze w szkaradnej
apoplexii i djabelnym rozmyślaniu.

C A J U S.

So takiego jesd, ja tego nie fi, ale ja sli-
szali że wy mój ęospodasz spozifa się jeden
niemiecki Prince, jeden Książę. Na honor,
że ja nie fi, żeby jeden Niemiecki Książę byli
oszekifany na tutejszy tfor. Ja wam to mofi
s salego mojego sersa! Adieu! (*wychodzi*).

G O S P O D A R Z. (*do Bardolfa*).

Krzyecz lajdaku na gwałt, na trwoę, na
rozbój! — Dopomóż mi rycerzu! — Biegaj
lotrze, krzyecz: zdrada! rozbój! złodzieje! —
A ja nieszczęśliwy! (*wychodzi z Bardolfem*).

F A L S T A F F. (*sam*).

Chciałbym ażeby cały świat został oszu-

kanym, gdyż i ja zostałem oszukanym, i do tego jeszcze obitym! Jeśliby doszło do dworu przez jakie przechodziłem koleje i stroje, jak zostałem skąpanym i okijowanym, oniby swojemi żartami wycisnęli ze mnie po kropli całą tłustość na hart dla rybackich bótów: oniby mię splaszczyli jak suszoną gruszkę — Nie! od czasu, jak krzywoprysiąłem w pimero ²⁰⁾, nie powiodło się mi już ani razu! — Jeżeli kiedy, to teraz, jeślibym miał tylko dosyć oddechu do modlenia się, pomyślałbym o pokucie!

(wchodzi Żwawska).

— A! skąd-że to?

Ż W A W S K A.

Od jednej i drugiej.

F A L S T A F F.

Niech szatan porwie jedną z nich, a jego połowica drugą, a wtedy podług zasług dostanie się obu! Ucierpiałem już z ich łaski więcej, niż przyrodzona czułość ludzkiej skóry znieść może.

²⁰⁾ Rodzaj gry w karty.

Z W A W S K A.

A oneż myślisz Pan nie nie ucierpiał? Osobliwie jedna! Nieboga Ford cała teraz w czarnych i sinich plamach, tak, że białego miejsca nie znależdź dla położenia palca.

F A L S T A F F.

Co mi tam prawisz o sinich i czarnych plamach! Jabyś ci mógł ukazać na sobie wszystkie kolory tęczy, nie licząc już tego, że tylko co nie popadł w szczypce sądowe pod postacią Brentfordzkiej czarownicy. Jeśliby nie cudowna przytomność umysłu, z jaką potrafiłem naśladować postawę i drżenie starzej zdzieciniałej baby, ten przeklęty Constable miał mnie już kazać przywiązać do pręgierza i wystawić na urąganie motłochu.

Z W A W S K A.

Sir Dżonie! pozwól mi pomówić z sobą obszerniej w swoim pokoju, a to, co mu powiem, nie będzie mu zapewne nie po myśli; przytęm mam i list, który także coś powie od siebie. — Drogie moje robaczki!

ile to potrzeba zachodów, aby was z sobą zbliżyć! — No! już koniecznie jedno z was musi być trochę grzeszne, kiedy tak różnemi chodzicie drogami!

FALSTAFF.

Więc idź za mną! (*wychodzą*).



Scena VI.

Inny pokój w hotelu Podwiązki.

(FENTON I GOSPODARZ).

GOSPODARZ.

Nie, nie mów mi o niczem Panie Fentonie! Chodzę teraz jak odurzony, i nie posłyszałbym, choćby mi strzelano nad uchem.

FENTON.

Posłuchaj wszakże! Nad wartość twych koni,
Słowo dżentlmena, że dam ci sto funtów,
Lecz niech twym uszom nie słuchać nie broni!

GOSPODARZ.

A więc masz mię Panie Fentonie zamienionego w uszy, i uręczamgo, że cokolwiek w nie wleci, nigdy nie odbrzęknie na języku.

F E N T O N.

Wiesz, że kocham Anetę, i że ma kochana,
 Ile z niej, całą duszą dla mnie jest oddana.
 Otrzymałem dziś od niej list dość dziwnej treści,
 Jutro ubawią Windsor o Falstaffie wieści,
 Jak się doczytasz z listu. Ale to na stronie!
 — Nancy ma się dziś przebrać za wróżkę królowę,
 I jej dziwaczny ojciec wymógł na niej słowo,
 Ze się da porwać z parku, by wziąć ślub w Etonie
 Z tym pólglówkiem Slenderem. Lecz w tej samej
 chwili,

Matka Nancy z doktorem Cajus ułożyli,
 Ze on porwie Anetę, i zaślubi w farze:
 Moja luba i matce musiała dać słowo;
 Teraz posłuchaj końca! By poznać królowę
 Śród masek płasających w ciemnocie i gwarze,
 Page przeznaczył dla córki strój biały godowy,
 A matka strój zielony i wstęgi u głowy;
 Slender ma mieć za hasło ręki uściśnienie,
 Cajus, zwyczajem duchów, lekkie uszczypnięcie.
 Jeden więc szukać będzie białej narzeczonej,
 A drugi, wstęg u głowy i sukni zielonej.

G O S P O D A R Z.

Kogoż, ojca czy matkę, dziewczyna oszuka?

F E N T O N.

Oboje; w las nie idzie podobna nauka.

Nancy im się wysłiznie pod zasloną nocy,
 I chce pośpieszyć ze mną na trzecie wesele.
 W tem więc, mój gospodarzu, żądam twój pomocy,
 Byś uprosił proboszcza czekać nas w kościele
 Od dwónastej do pierwszej —

GOSPODARZ. ¹

Polegaj na mnie, karbuj, licz Panie Fentonie,
 Byleby Panna młoda — i biedne me konie —

F E N T O N.

Za konie we dwójnasób przyrzekam ci wrócić,

GOSPODARZ.

A ja przyrzekam nogi za pas wnet zarzucić.

(wychodzą).



S c e n a VII ²¹⁾.

FALSTAFF I ŻWAWSKA.

F A L S T A F F.

No ! no ! dosyć, już dosyć mój kołowrotku !
 Przyjdę ! przyjdę ! To będzie już raz
 trzeci, i mam nadzieję, że liczba niepa-

21) Scena ta w oryginale należy już do aktu piątego.
 My poszliśmy za przykładem Tiecka, i odnieśliśmy
 ją do czwartego aktu, z którym łączy się ona da-
 leko ściślej.

rzysta lepiej mi się powiedzie. Bo nie darmo przecież mówią że w liczbach nieparzystych jest coś błogosławionego i do urodzin, i do szczęścia, i do samej nawet śmierci.

Z W A W S K A.

Biorę już na siebie wystarać się dla Pana łańcucha, i pary pięknych rogów.

F A L S T A F F.

No! idź już, idź kochana moja czeczotko! czas drogi!

—Zadrzyj główkę do góry, i strzyż drobną nóżką! — (*Zwawska wychodzi*).

(*wchodzi Ford*).

— Witam Panie Karp! Dzisiejszej nocy lub nigdy, Panie Karp', dobijemy sprawy! Bądź Pan o północy w parku, niedaleko jaworu Herna, a napatrzysz się na cuda.

F O R D.

A więc wczoraj nie poszedłeś Pan na umówioną godzinę?

F A L S T A F F.

Poszedłem Panie Karp', tak jak mię widzisz, starym niepoczesnym mężczyzną, a powróciłem starą niepoczesną babą. Ten

osiel Ford, mąż jej, Panie Karp', opętany jest od najstarszego i najchytrzejszego diabła zazdrości, ze wszystkich diabłów, jacy tylko nawiedzają głowy podobnych jemu głupców. Posłuchaj Pan tylko! Omlócił mię on niemiłosiernie kijem, i musiałem to przyjąć w postaci baby, gdyż w postaci mężczyzny, Panie Karp', nie zląkłbym się samego nawet Goliatha, chociażby on wystąpił przeciwko mnie ze swoim *tkackim nawojem*; gdyż jestem tego przekonania, Panie Karp', że życie jest to tylko *szpulka* ²²⁾ Wejdźmy do mojego mieszkania, Panie Karp', a opowiem mu szczegółowie o wszystkiem — Od czasu, jakem skubał gęsiom pióra, nie umiał pensów, i puszczał baki, nie pamiętam, Panie Karp', co to jest być tak obitym, jak zostałem obitym wczoraj z twojej łaski — Chodź Pan, opowiem mu dziwne rzeczy o tym lotrze Fordzie! Ale dzisiejszej nocy pomszczę się na nim, i oddam ci w ręce jego żonę! Chodź! dziwne rzeczy mamy przed sobą Panie Karp'! *(wychodziq)*.

22) Wyrażenie biblijne.



A k t P i ą t y.



S c e n a I.

Park Windsorski.

(PAGE, SHALLOW I SLENDER).

P A G E.

Chodźcie! chodźcie! Będziemy musieli odbywać leże, dopóki nie zabłyszczą pochodnie naszych duchów. Pamiętaj zięciu Slenderze mieć oko na swoją Pannę młodą!

S L E N D E R.

Już ci też, ma się rozumieć! Mówilem z nią o tém i nawet ułożyliśmy się z sobą o hasło. Podejdę do białej i powiem jej:

Szmi!, ona mi odpowie: *Szma* ²³⁾, i po tém się poznamy.

S H A L L O W.

To bardzo dobrze ; ale co za potrzeba jakiegoś tam : *Szmi!* *Szma!* Biała suknia dosyć ją odróżni ! Już też biła dziesiąta.

P A G E.

Noc ciemna , pochodnie i duchy przedziwnie odbijać będą. Oby się nam udała nasza zabawa ! Nikt w téj chwili o złém nie myśli, prócz diabła, a tego łatwo poznamy po rogach ! Idźmy ! (*wychodzą*).



S c e n a II.

Tamże.

(PANI PAGE, PANI FORD i DOKTOR CAJUS).

P. P A G E.

Doktorze ! Aneta będzie w zielonej sukni ; gdy upatrzysz czas, weź ją za rękę , ruszajcie do fary i uwińcie się ze ślubem. Ale bądź z nami, nie powinniśmy się rozdzielać!

23) Są to nowe hasła chłopów Mazowieckich.

C A J U S.

Bon! jusz fi so ma srobiš! Tymasasem adieu!
(wychodzi).

P. P A G E.

Do widzenia kochany Doktorze! — Mąż mój zapewne nie tyle się ucieszy z psikusa, wyrządzonego Falstaffowi, ile się zmartwi z zamążpójścia Anety za doktora. Ale cóż robić! Lepsza mała połajanka niżeli wielka boleść serca!

P. F O R D.

Gdzież teraz Aneta ze swoim orszakiem duchów, i nasz Wallijski djabeł Hugo?

P. P A G E.

Czatuja już oni zapewne w dole niedaleko jaworu Herna, z zakrytymi pochodniami, dopóki my nie nadejdziemy i nie zjawi się Falstaff.

P. F O R D.

Nie podobna aby się on nie przeląkł.

P. P A G E.

Jeśli się nie przeleknie, to zawsze przecież zostanie zawstydzonym, a jeśli się przeleknie, to wedwójnasób zostanie zawstydzonym.

P. FORD.

Przedziwną zdradą ciągniemy go do matni!

P. PAGE.

Dla łotrów, co swą sławę na zwodnictwie kładą,
Najbezbożniejsza zdrada przestaje być zdradą.

P. FORD.

Zbliża się godzina! Żywić do jaworu!

(wychodzą).



S c e n a III.

Tamże.

(EVANS I DUCHY).

E V A N S.

Przędź, szyfio bieszy moje fy mali kochany szorty i nie sapomni sfoja rola! Będzie tylko sobi śmiali, ja fas barzo prosi; a jak ja pofi: choc! ftedy wyskoszy fszyski rase! Pojzie sa mną! (wychodzą).



S c e n a IV.

Inna część parku.

(Falstaff przebrany, z rogami na głowie).

FALSTAFF.

Zegar Windsorski wybił dwónastą! nad-

chodzi chwila. Teraz wspierajcie mię świadome miłości bogi! Przypomnij Jowiszu, żeś się stał bykiem dla miłości Europy; miłość siedziała sobie wtedy na rogach. O wszechwładna miłości! ty w wielu razach przemieniasz zwierzę w człowieka; w wielu innych człowieka w zwierzę! Tak, raz jeszcze, Jowiszu, stałeś się łabędziem dla miłości Ledy! Wielowładna miłości! jak swawolnie zbliżyłaś wtedy największego z Bogów do gęsi! Pomyśl, Jowiszu, że pierwszy z twoich grzechów zamienił cię w bydlę, w postać odpowiednią grzechowi, a grzech drugi zamienił cię w ptaka; bo też ptaszek był z ciebie, ptaszek! — A jeśli bogi tak pokwapne, to możnaż się dziwić biednym ludziom! — Co do mnie, jestem tu Windsorskim jeleniem, i jeśli się nie mylę, najtuczniejszym z jeleni tego parku. Zeszlij na mnie smagę, wiosenną chudotę kochany Jowiszu, lub nie policz mi za swawolą tych niezbędnych wybryków! — Kto tu? czy moja jeleneczka?

(wchodzą Pani Ford i Pani Page).

P. FORD.

Sir Dżonie! Tyżeś to mój kotku! mój jelonku?

FALSTAFF.

Tak, moja czarnoprzęga sarneczko! — Teraz już niech grzmi niebo na nôtę zielonęj opończy, niech się posypie grad kartofli ²⁴⁾, niech się zaśnieżą wanille, muszkatołowe galki i miętowe cukierki, niech powstanie przeciwko mnie burza nagabań! — tyś moje schronienie! (*obejmuje ją*).

P. FORD.

Pani Page jest tu ze mną, moje serce!

FALSTAFF.

A więc rozdzielcie mię po częsteczce, jak ofiarnego kozła; wymawiam tylko dla siebie jedno serce; przednie łopatki poświęcam na ucztowanie leśniczych łutejszego parku, a rogi ofiaruję waszym mężom! Cóż? albo nie gajowy ze mnie, alboż nie wyglądam na Herna myśliwca? — Ale, na honor, że i Kupido okazał się na ten raz sumiennym chłopczy-

24) W kartoflach za czasów Szekspira upatrywano własność pobudzającą.

na! On umie domierzać zadosyćuczynienia! Pozwólcie że w terażniejszej mojej postaci ducha, muszę mu oświadczyć podziękowanie! Dzięki ci Rupidyne!

(hałas za teatrem).

P. PAGE.

Ach! jaki to hałas?

P. FORD.

Boże! odpuść nasze grzechy!

FALSTAFF.

Cóżby to miało znaczyć!

P. FORD. } Uciekajmy! Uciekajmy! *(uciekają).*
P. PAGE. }

FALSTAFF.

Widzę dobrze że djabeł nie chce mnie mieć w liczbie potępieńców, z obawy, ażeby od mojej tłustości nie zajął się ogień na całe piekło; inaczej nie czyniłby mi on tych przeszkod!

(ukazuje się mnóstwo Elfów i duchów — między niemi Sir Evans, Aneta, Zwawska i Pistol — wszyscy z zapalonymi pochodniami).

ZWAWSKA.

Duchy czarne i szare, białe i zielone!
Zwolenniki księżyca i nocnego cienia,

Odrzutki niewspomniane w księdze przeznaczenia,

Czyńcie swoją powinność plemię odrzucone!

Heroldzie Hobgolinie nakaz im milczenie!

P I S T O L.

Elfy! baczność! słuchajcie na powietrzne cienie!

— Kijowianko do Windsor żegluj na łopacie

A gdy ujrzysz, że z luftów dym gdziekolwiek płynie,

Lub niezgarniony popiół znajdziesz na kominie,

Szczypaj senliwe dziewczki, stukaj po komnacie!

Naszej promiennej Pani nieczystość obrzydła!

FALSTAFF. *(cicho ze drżeniem).*

Upiory! nie daj Boże spojrzeć na straszidła.

Śmierć temu, kto je widział. Przypadnę do ziemi!

(kładnie się na ziemi).

E V A N S.

Poslist! Sajszy fsypialni oszyna szarnemi.

A gdzie młoda siefszyna nisz się rosebrali,

Smofili tszy pasieszy i nie posicfali,

Dla taka daj sny dopry, maszenia ziesięse,

A niepoposzna spiocha szyp, laskosz pot ręse!

Z W A W S K A.

Dalęj Elfy! i naprzód na Windsorski zamek,

Zwiedźcie to święte miejsce od szczytów do kłamek,

Nie skąpcie dlań uszczknionych z pola szczęścia
kwiatów,

Aby nam zamek przetrwał do skończenia świa-
tów,

Jak dziś godny swych władców i miał godnych
władców!

Omyjcie balsamami krzesła tronu radców.

Święte posagi, stosy hełmów i puklerzy!

— Wy, duchy łąk! w swych tanach snujecie krąg
podwiązki,

A gdzie w tym tańcu stopa powietrzna uderzy,

Niech z pod niej wytryskają laurowe gałązki,

I wijąc się z białemi i modremi kwiaty,

Tworzą: Honny soit qui mal y pense! godło Albio-

Jak szafirów i pereł zdoła rzęd bogaty (nu,

Kolana zasłużonych ojczyzny i tronu!

Lecz nim się rozpierzchniecie o zwyczajnej po-
rze,

Niech się odbędzie taniec przy Herna jaworze!

E V A N S.

No, Elfy! ręka fręka, i bęzie tanszyli,

Śfięto-jański robaszki bęzie nam śfiesili,

A my tańszy f podfiaska fedluk ta jafora!

— Sza! Sza! — ja sliszy f siemi szlofiesza potfora!

F A L S T A F F. (cicho).

O niech mię Wallijskiego Bóg broni Wampira!

On mię jeszcze zamienić gotow w kawal sera!

E V A N S.

(podchodząc do Falstaffa).

— Plaz, robag pszesnaszony szeby się szolgali!

Ż W A W S K A.

Doświadczyć go przez ogień! Jeśli to twor czysty,

To nasz płomień nieziemski odeń się oddali.

Lecz jeśli go obejmie i zmusi do krzyku,

Będziemy mieli dowód jasny, oczywisty,

Że godna chlosty skóra na grubym grzeszniku.

E V A N S.

Saras mi tu dosładszy szy pali się fona?

F A L S T A F F.

(przypiekany pochodniami).

Aj! Aj!

Ż W A W S K A.

A więc to jest istota nieczysta, skażona!

Dalej Elfy, zawstyďte piosnką rospuśnika,

I niech każdy z was tańcząc w takt się go dotyka!

S P I E W.

Hańba żądzom wyuzdanym,

Hańba zamiarom nieczystym!

One to w sercu skalanem

Wiją się węzem ognistym;

W krew i myśli jad swój miecą,

I wciąż wyżej, wyżej lecą.

Szczypajcie go więc upiory,

Nie szczędźcie grubej potwory;

Szczypajcie go, i palcie, i dręczcie za zbrodnie,
Póki nie zgasną gwiazdy, księżyc i pochodnie!



(Podczas śpiewu duchy szczypią Falstaff'a. Doktor Cajus nadchodzi z jednej strony i ucieka z Elfem ubranym zielono, Slender porywa Elfa ubranego biało, Fenton Anetę. Słychać za teatrem głos trąbki myśliwskiej, duchy uciekają. Falstaff wstaje i odrzuca rogi).

(Page i Ford z żonami przystępują).

P A G E.

(zatrzymując Falstaff'a).

Nie uciekaj nam, Hernie, myśmy cię pojмали.

P. P A G E.

Proszę cię nie posuwaj już tych żartów dalej!

— Cóż, jak sądzisz rycerzu Windsorskie kobiety?

— Patrz, drogi mężu! czyli ten piękny strój głowy
Może zdać się dla miasta? — Wszak to strój pu-
szczowy!

F O R D.

Cóż Sir Dżonie, któż teraz rogalem? Pa-
nie Karp! Falstaff jest to głupi rogal i ro-
gaty głupiec! Oto są jego rogi, Panie Karp,
i on nie skorzystał Panie Karp od Forda,
prócz kosza od bielizny, kijów, i dwudzie-
stu funtów, które musi oddać co do sze-

łaga Panie Karp'! Jego konie, Panie Karp,
są wzięte w zastaw!

P. FORD.

Sir Dżonie! Tak chciało nieszczęście, iż
nie mogliśmy nigdy uniknąć przeszkod. Od-
tąd nie mogę już cię wziąć na kochanka, ale
na kozła zgoda!

FALSTAFF.

Zaczynam pojmować że zrobiono ze mnie
osła.

FORD.

I nawet wołu. Dowody tego widoczne!

FALSTAFF.

A więc to nie były upiory! Na honor że
dwa czy trzy razy przychodziło mi na myśl,
że to nie są upiory; lecz każdą razą uczucie
winy i nagłe odurzenie ukrywały przedemną
tę grubą powłokę oszukaństwa. Otoż jakim
Marcinem stać się w nas może rozum, gdy
go na złe używamy!

E V A N S.

Sir Dżon! będzie słuszyć Bogu, fyszesse
się śla sząza, i duchy nie będzie jego szypać
fięsej!

F O R D.

Dobrze powiedziano! kochany Pastorze!

E V A N S.

A Faspan fyszysz się sfoja sasdrość!

F O R D.

Nie przyjdzie mi już ona do głowy, dopóki nie będziesz w stanie, kochany proboszczu, palić do mojej żony koperczaków czystą angielszczyzną!

F A L S T A F F.

Lecz czyliż mózg mój wysechł na słońcu, że nie mogłem uniknąć tak grubego złudzenia! Więc może mi już Wallijska koza beczeć nad głową i grozić jej swoim krajowym wyrobem, flanelową szlafmycą? O, dawno już czas, abym się udawiał gomulką suszonego sera!

E V A N S.

Syr nie się uszyfa s maslem, a fasz bszech szyste masło!

F A L S T A F F.

„Nie się używa s maslem!” Potrzebaż mi było dożyć tego, abym brał nauki od człowieka, który robi bigos z angielszczyzny!

Tego już aż nadto, aby przywieść do upadku zalotność i nocne schadzki w całym królestwie!

P. PAGE.

Co u licha! Myślisz-że Sir Dżonie że chociażbyśmy nawet na łeb na szyję wygnały cnotę z serca, i bezwarunkowie zapisały się piekłu — iż sam djabeł zdołałby nas w twoje powaby uwikłać?

FORD.

W taką górę puddyngu!

P. PAGE.

W taką pierzynę!

PAGE.

W lod, starotę, pruchno!

FORD.

I w taki djabelski język!

PAGE.

I w bołotę podobną biblijnemu pacjentowi!

FORD.

I w taką złośliwą jędcę jak jego żona!

EVANS.

I f taki deposz, f taki miłośnik karszma

i madera i miot i na fybita i na fypita i na pszekłęstfa i na fszeteszeństwo!

FALSTAFF.

No! dobrze, dobrze, jestem textem do waszój oracji, czuję się zawstydzonym, przedysputowanym; nie mogę nawet odpowiedzieć tej Wallijskiej flaneli; moje własne głupstwo przywaliło mię ołowiem. Robcie ze mną co chcecie!

FORD.

Zda mi się że pójdziemy teraz do Windsoru! do pewnego Pana Karp', u któregoś wyludził dwadzieścia funtów, i któregoś dwakroć oszukał swojemi obietnicami. Myślę że zwrót tych pieniędzy będzie dla niego nad wszystko boleśniejším.

P. FORD.

Nie! nie! mój mężu, nie mów już o tych pieniądzech, i bądźmy, jak dawniej, przyjaciółmi!

FORD.

Niech tak będzie! A więc zgoda! Wszystko zapomniane!

PAGE.

Nie trać dobrej myśli rycerzu! proszę cię

abyś był dziś u nas na wiecezry, a jak teraz z ciebie moja żona, tak mam nadzieję że ty wkrótce z niej się pośmiejesz. Powiedz jej, że w Slenderze dostała już zięcia.

P. PAGE. *(na stronie).*

Wątpi o tém kościół! Jeżeli Aneta jest moją córką, to dotąd jest już ona żoną Doktora Cajus.

(wbiega Slender).

SLENDER.

Och! och! teściu Page!

PAGE.

Cóż ci jest mój zięciu? czy już po wszystkim?

SLENDER.

Po wszystkiém! Jeżeli tu sam djabeł pojmie cokolwiek, to niech mię zaraz prowadzą na szubienicę! och!

PAGE.

Cóż znowu się stało?

SLENDER.

Przybywam do Eton dla wzięcia ślubu z Anetą, aż to nie Aneta, ale jakiś dragal chłopeczysko! No! jeśliby to nie było w ko-

ściele, to albo jabym go porządnie wygrzmotał, alboby on mnie wygrzmotał. Niech nie stąpić kroku, jeżeli nie myślałem, że to Aneta Page, aż to, proszę, jeden z tutejszych pocztarzy!

PAGE.

A więc się pomyliłeś?

SLENDER.

Co mi jeszcze o tém gadacie teściu! Już ja wiem, że się pomyliłem, kiedy wam powiadam, że wziąłem chłopca za dziewczynę. A tobym ślicznie wskórał, gdybym był sobie, proszę unizenie, widząc go tak w sukni kobiecej, wziął z nim, jak potrzeba, ślub w kościele!

PAGE.

We wszystkiem obwiń swoje głupstwo! Nie mówił-żem ci jak masz poznać Anetę?

SLENDER.

Ja tak też i zrobielem. Podeszedłem do białej i powiedziałem: Szmi! Ona mi odpowiedziała: Szma! jak była umowa z Anną; a przecież okazało się, że to nie była Anna, ale chłopak z poczty.

E V A N S.

Gott mit uns! Pan Bok s nami! Szy tak krutko pszed sobą patszy Pan Slender, sze ksiali oszenie się s klopsem?

P A G E.

To mnie niezmiernie martwi. Jakże tę rzecz naprawić?

P. P A G E.

Uspokój się mój Karolu i nie gniewaj się na mnie! Wiedziałam o twoim zamiarze, przebrałam Nancy zielono, i mówiąc prawdę, bierze ona teraz ślub w farze.

(wchodzi Cajus).

C A J U S.

Gzie Madame Page! Pardieu! Fszyski djabli! Szort fi sa so, po so, na so, profazil jeden basalik pod ręką pszez salego park!

P. P A G E.

Cóż? nie tę-li wzięłaś, co była ubrana zielono?

C A J U S.

Oui! Sielony! — Sielony! Sielony chłop! So to się mnie snaszy. Ja ten szart nie podaruje! Ja sali Windsor pszeprusę!

(wychodzi).

F O R D.

A to wybornie! Któż dopiero porwał prawdziwą Nancy?

P A G E.

Serce mi nie wróży nic dobrego ! Widzę tu idącego Fentona.

(*wchodzi: Fenton i Aneta*).

P A G E.

Cóż tu porabia Pan Fenton?

A N N A.

Przebaczenia kochany ojcze ! Matko kochana ! przebaczenia !

P A G E.

Cóż to jest dziewczyno ! czemuś to nie poszła z Panem Slenderem ?

P. P A G E.

Dla czego moja Panno nie z Panem Doktorem Cajus ?

F E N T O N.

Zaleknioną wyręczyć niech się ja ośmielę.
Nancy pomimowolne miała zawrzeć śluby,
Lecz niech zezna, czy był jej, oprócz mnie, kto luby?
Jak dopiero zeznała to samo w kościele.
Jej występki, jej zdrada obce wszelkiej winy,
Nie raczcie ją obwiniać o nieposłuszeństwo,

A pomyślcie jak smutne, nieszczęsne godziny
Ciągnie zawsze za sobą zmuszone małżeństwo!

F O R D.

Cóż milczycie! przypadek i niepoprawiony!
Złoto daje nam ziemia—przeznaczenie żony.

F A L S T A F F.

Niewymównie się cieszę, że kilka strzał,
dla mnie przeznaczonych, przeleciało mimo
i dosięgło was samych.

P. P A G E.

Cóż czynić, w rzeczy samój? Dzieci! szczęście wam
Boże!

Przyjmijmy co się cofnąć i odstać nie może.

F A L S T A F F.

Nocą ryby i raki idą do wziętierzy,

E V A N S.

Fytanszy się i podje na słodkiej fieszerzy!

P. P A G E.

Fentonie! Niech wam płyną dni długie, szczęśli-
we!

Pójdźmy mężu! obsiądźmy kominek dokoła,
Niech przypomnienie śmiechów nowe nam wy-
woła!

Proszę Panów!—

F O R D.

Idziemy!—Ocalileś Sir Dżonie twe słowo,
Karp może śmiało liczyć na Panią Fordową.

K O N I E C.



DE JAN CZERWIŃSKI.

WYŻSZA SZKOŁA
PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA

091270

Biblioteka WSP Kielce



0166722